C-487

[redacted]

POLISH NATIONAL UNION LIBRARY
BIBLIOTEKA POLSKO - NARODOWEJ SFOJNI
SCRANTON, PA.

C-487

C-487

5033

WĘGLARZ Z WALENCYI

KS. KAN. KRZYSZTOF SCHMIDT

WĘGLARZ Z WALENCYI

NADZWYCZAJ ZAJMUJĄCA POWIEŚĆ TŁOMACZONA Z NIEMIECKIEGO.

POLISH NATIONAL UNION LIBRARY
BIBLIOTEKA POLSKO-AMERYKAŃSKA

WYDAŁ
ANTONI A. PARYSKI,
TOLEDO, OHIO.
U. S. A.

K 368434
722067 I

K-07/532/8

Biblioteka Śląska

28.06.

I.

Wygnaniec.

Święty Jakób większy, jak niesie podanie, przybył do Hiszpanii jako pierwszy apostoł, i tamże opowiadając naukę Zbawiciela, wielu pogan nawrócił do wiary świętej i został założycielem kościoła Chrystusowego. Ciało tego świętego po jego męczeńskiej śmierci sprowadzono z Jerozolimy do Hiszpanii i złożono w kościele katedralnym w Kompostelli. Wdzięczni Hiszpanie za przyniesienie im Wiary, obchodzą dzień 25 lipca w dorocznej pamiątce ze szczególną po całym kraju uroczystością.

Było to w końcu piętnastego wieku ery chrześcijańskiej, kiedy w samą wigilię

uroczystości św. Jakóba siedział Fernando d'Arjas przed swym domem na jednem z przedmieść Salamanki, miasta położonego w jednej z najpiękniejszych prowincyj hiszpańskich, Leon. Mąż ów, powszechnie szanowany, był profesorem przy tamtejszym uniwersytecie.

Zwyczajnie tu wypoczywał po sumiennie wypełnionych obowiązkach, należących do jego powołania, i rozkoszował się w piękności nieba, w cieniu drzew rozłożystych, oraz dumał nad sposobem wychowywania młodzieży, lub puszczał myślom wodze, odświeżając w pamięci szczęśliwe chwile z ubiegłych lat młodocianych.

Właśnie w tej chwili rysował mu się w myśli obraz szkolnego kolegi, hrabiego Rodrygo de Palma, z którym połączony najserdeczniejszą przyjaźnią, zawarł sojusz wzajemnego wspierania się radą i czynem w każdem położeniu, dopóki nie spodoba się Najwyższemu odwołać którego z nich z widowni tego świata.

Po ukończeniu chlubnie nauk, rozstali się obaj przyjaciele, obrawszy sobie każdy inny zawód. Celujący w naukach Fernando, posiadający obszerne wiadomości, a przy-

Polish National Union of America

tem pałający czystą miłością ku młodzieży, został profesorem przy wszechnicy w Salamance. Żeby mu w pracach umysłowych nic nie przeszkadzało, żył w bezżeństwie. Hrabiemu zaś polecił król hiszpański ważną sprawę do załatwienia na wyspie Cyprze, którą gdy z korzyścią dla narodu załatwił, po powrocie do kraju dostał w nagrodę komendę nad pułkiem stojącym w Toledo załogą.

Obaj przyjaciele nie mieli dotąd sposobności dać dowodu, że ich przyjaźń nie była przemijającą i że zobowiązanie wzajemnego się wspierania nie było wyrazem przelotnego uczucia. Ale nieszczęścia szukać nie potrzeba, gdyż ono samo stawi się wcale nieproszone.

Głosy dzwonów ogłaszające jutrzejszą uroczystość przebrzmiały, a pomrok wieczorny zaczął się rozpościerać po ziemi. Fernando się podniósł i chciał właśnie wnijść do swego domku, aby się udać na spoczynek, gdy nagle stanął przed nim zwyczajnym obszernym płaszczem okryty podróżny. Widocznie był on spiesznym pochodem zmęczony, a twarz miał bladą i wielkiem wewnętrzenem cierpieniem na-

piętnowaną. Nieznajomy prosił o natychmiastowe posłuchanie na osobności.

Wprowadzony do osobnego pokoju zrzucił naraz podróżny płaszcz ze siebie, a przerażony profesor ujrzał przed sobą hrabiego Rodrygo de Palma, trzymającego na ręku śpiące czteroletnie dziecię.

"Dawny, wierny przyjacielu," odezwał się hrabia, "przychodzę do ciebie jako napiętnowany zbrodniarz!... Fernando de Mendoza, mój najzawziętszy nieprzyjaciel, prześladuje mnie jaknajokropniej. Wskutek jego to oskarżenia stoję na regestrze ofiar inkwizycyi 1). Lecz na Boga, zaręczam ci, że jestem niewinny!.. Mój wierny sługa Cezaro przestrzegł mnie o niebezpieczeństwie, jakie mi zagraża. Przerażenie zabiło drogą mi małżonkę, której zwłoki spoczywają już pod cyprysami na cmentarzu w Toledo. Straciwszy tę cnotliwą towarzyszkę życia mojego, pochwyciłem to, co mi jeszcze pozostało najmilszego... oto to dziecię... i w spiesznej ucieczce szukam ocalenia życia mego i tej biednej dzieciny!"

---

1) Inkwizycya—sąd bardzo wówczas surowy na heretyków i zbrodniarzy.

Tu żal ścisnął serce hrabiemu, i zamilkł.

"Na Boga żywego!" zawołał profesor, "jakże mogło spotkać cię takie nieszczęście! Przecież cię znam jako męża najwierniejszego obowiązkom względem wiary i powołania!

"W tym względzie" rzekł hrabia, "nie mylisz się, mój drogi przyjacielu. Jednakże pewnie ci przecież wiadomo, że pomiędzy rodziną Palmów a Mendozów istnieje od bardzo dawnych czasów nieporozumienie. Z mej strony usilnie starałem się o to, aby nie dać powodu do odświeżenia zastarzałych niesnasek. Nie wiem więc, w czembymkolwiek Mendozom ubliżył. Inaczej też obecnego prześladowania z ich strony wytłumaczyć sobie nie mogę, jak że jaka niegodziwa dusza, ostrząca zęby na mój majątek, tlejącą iskrę zastarzałej nienawiści rozżarzyła. U nas pełno łotrów pod rozmaitemi postaciami, i ja życia nie jestem pewnym. Muszę więc uciekać, aby ujść z życiem i ocalić to dziecię, nadzieję rozkrzewienia imienia Palmów."

"Przyjacielu!" zawołał Fernando, "powiedz, w czem ci mogę być pomocnym?

Do każdego poświęcenia znajdziesz mnie gotowym!"

"Unieść to dziecię," zaczął hrabia, "przy tym pośpiechu, z jakim przed nieprzyjaciółmi uciekać muszę w miejsca niedostępne, byłoby niepodobieństwem. A chociażbym i cudem tego dokazał, to powiedz sam, jakieżbym mu ja nędzny tułacz mógł dać wychowanie? Weźmij więc przyjacielu mego syna w twoją opiekę, wychowaj go w zaciszu domu twego i ukryj go przed światem, dopóki inne, lepsze nie nastąpią czasy."

"Zaprzysięgliśmy sobie dozgonną przyjaźń i zobopólne wspieranie się w każdym przypadku," rzekł uroczyście Fernando, "więc zaręczam ci, że nie zdradzę położonego we mnie zaufania. Bądź przekonanym, że dziecię taką znajdzie u mnie opiekę, jak gdyby je strzegła i pielęgnowała własna jego matka."

"Przedewszystkiem," mówił dalej hrabia, "wpój w jego ducha zasady wiary świętej, cnoty domowe i obywatelskie; co się tyczy zaś zalet cielesnych, staraj się głównie o to, żeby był mężnym i odważnym i aby według odpowiedniej zręczności i si-

ły stać się mógł użytecznym ojczyźnie. W tym kierunku daj mu wychowanie... Lecz proszę, niech nic nie wie o swem pochodzeniu, aby snadź duma nie skaziła jego serca, i żeby nie godnością urodzenia, ale osobistemi zasługami starał się zyskać szacunek i znaczenie... Na teraz nie mam i chwili do stracenia, bo mnie ze wszech stron szpiegują!... Oto masz tu skrzyneczkę z klejnotami, którą w pośpiechu zabrałem... a tu zapieczętowane dokumenty. W sam dzień świętego Jakóba, gdy chłopiec będzie liczył już lat szesnaście, a ja już może spoczywać będę w mogile — wtedy otwórz pieczęcie i oznajmij synowi tak pochodzenie jak i całą tajemnicę z jego lat dziecięcych. Znając twe dobre serce, ufam tobie i z tego powodu o los dziecka jestem w połowie uspokojonym!"

Po tych słowach obaj mężowie podali sobie dłonie, a oczy ich zaszły łzami. Hrabia ucałował dziecko.

"O, synu mój!" odezwał się, "jakże smutna czeka cię przyszłość!... a jak to trudno dla nieszczęśliwego ojca oderwać się od ciebie!"

Fernando z obawy, aby ojciec rozczulo-

ny nie naraził się na niebezpieczeństwo rzekł:

"Hrabio, nie pozwól żałości brać przewagi nad stałością. Pomnij, żeś ty sam w niebezpieczeństwie, ale że syna zostawiasz pod moją opieką; miej to przekonanie, że go strzedz będę, jak źrenicę mego oka. Zresztą zaufaj Najwyższemu, który jest nam świadkiem w obecnej chwili; miej tę pewność, że On odda kiedyś szczęśliwego syna w objęcia dziś stroskanego ojca... A teraz uchodź co prędzej, aby zbiry nie wpadły na trop i nie wyśledzili tak ciebie jak i dziecięcia. Bóg niech będzie z tobą. niech cię pociesza i prowadzi!"

W milczeniu uściskali się po bratersku. Hrabia, wzniosłszy oczy ku niebu, w cichości modlił się, polecając Bogu siebie i syna. Potem okrywszy się płaszczem wybiegł i zniknął w ciemności nocy.

Dziecię przebudzone pożegnaniem ojcowskiem poczęło kwilić, lecz ten, który nie obłudnie lecz w obec Boga i sumienia swego wziął na się obowiązki ojca i matki, umiał je wnet uspokoić i pozyskać jego zaufanie.

Pod jego więc opieką rozwijał się piękny chłopczyna, niby pączek nadobnego kwiatu, mający razem wonią i barwą uprzyjemnić życie ludzkie. Zacny i troskliwy nauczyciel znalazł z pociechą serca w swym uczniu zdolności umysłowe i chęć do nauki, przeto wychowywanie postępowało naprzód z wielką korzyścią. Wspomnienia z kołyski i tak nawet niedokładne, wnet zatarły się w pamięci chłopczyka, a zato sercem i duszą przylgnął do swego nauczyciela, jak do rodzonego ojca.

W sześć lat później znowu znalazł się w domu Fernanda ów dawny podróżny, gdyż z tęsknoty za dzieckiem nie mógł przezwyciężyć. Ta wygnała go z ukrycia i popędziła do Salamanki. Lecz wnet opuścił przyjaciela, raz, że widział swe życzenia spełnione, powtóre, że oko szpiega tropiło nieszczęśliwego tułacza.

Pomimo ostrożności już jednakże nazajutrz rozeszła się po mieście pogłoska, że u profesora był jakiś podejrzany pielgrzym; nieprzyjaciele powiadali nawet wręcz, że tym pielgrzymem był bezbożny hrabia de Palma.

Pogłoska ta bardzo przeraziła Fernan-

da, tak ze względu na siebie samego, jak i ze względu na swego wychowańca, i przyjęte na siebie obowiązki. Znając świat i ludzi, poznał, że się zanosi na burzę, przed którą jedyny ratunek: szybka ucieczka ze Salamanki.

Pod pozorem więc, że dla poratowania zdrowia musi na czas niejaki wyjechać, oddał to co posiadał pod zarząd swego przyjaciela, a sam z dziecięciem opuścił na mule wśród ciemnej nocy miasto, aby w jakiej odległej i nieprzystępnej kniei poszukać sobie schronienia.

II.

Chata węglarza w boru.

Jedną z najpiękniejszych i najpowabniejszych okolic królestwa Hiszpanii jest królestwo Walencyi. Tu zdaje się kwitnąć ustawiczna wiosna równocześnie obok żyznej jesieni; zima znajduje się tylko na wierzchołkach niebotycznych gór pirenejskich, na których wieczny śnieg spoczywa. Doliny zaś pokryte są najpiękniejszem kwieciem i najbogatszym owocem, a widok obydwóch obok siebie istniejących sił

natury napełnia serce człowieka czcią ku Stwórcy takich wspaniałych cudów.

Tu ściele się pod nogami cudownej zieloności kobierzec, z którym ręką ludzką tkane nie mogą się mierzyć, a z pod niego biją strumyki srebrzystej wody; tam na obszernych błoniach kołyszą się pełne kłosy ryżu, kukurydzy, pszenicy lub jęczmienia. Przy siołach gęsto porozrzucanych widne niby przepyszne wieńce uwite z drzew oliwnych, migdałowych i granatowych, poprzeplatane krzewami fig i pomarańcz; wzgórza okryte są bujnemi winnicami, uginającemi się pod ciężarem winogron, które dają słynne hiszpańskie wina, znane pod nazwą malaga i alikante; w ogrodach kwitnie stuletni aloes, i wszelkie tropiczne rośliny znajdują się tam w zadziwiającej obfitości. U stóp gór na bujnych wygonach pasą się gromady merynosów, mułów, kóz i żwawych osłów 1).

---

1) Osieł stref południowych chyba tylko postacią podobnym jest do osłów stref północnych. Tu u nas zasłużył on sobie na przydomek l e n i w e g o. Pochodzi to jednakże ztąd, że mu nasz klimat nie służy. Osieł potrzebuje ciepła i kraju górzystego. W krajach południowych, gdzie jego ojczyzna, jest on żwawym, zręcznym i ognistym, nie ustępując koniowi. Korzyść z niego większa niż z konia, albowiem koń w górach na nic nie przydatny, osieł zaś i po niedostępnych skałach drapać się umie.

POLSKA NARODOWA BIBLIOTEKA

W jednej z takich nizin wśród boru w Walencyi stała niepozorna, nizka chatka węglarza. Aczkolwiek ze wszech stron otoczona rozłożystymi dębami, ograniczającymi jej widnokrąg i kryjącemi ją przed okiem ludzkiem, jednakże pozostawał jej jeszcze prześliczny widok, choć w małym zakresie. Za chatką znajdowała się góra, zawierająca węgiel kamienny. Przed chatą rozciągała się urocza dolina, dosyć obszerna, a dalej łączka wystarczająca na wyżywienie kilku kóz. Z podnóża góry biło czyste jak kryształ źródło. Na przyległej skale wisiał głośny dzwonek, wzywający trzy razy dziennie mieszkańców odległych chatek do modlitwy.

Właściciel owej chatki zwał się Kamillo. Był to mąż podeszły w leciech, z białym jak śnieg włosem. Przybył on tu przed kilkoma laty z małym chłopczykiem, którego on nazywał Alberto. Zkądby on był, nie wiedziano, domyślano się zaś, że Alberto nie jest jego synem, bo lubo obchodził się z nim prawdziwie po ojcowsku, jednakże z pewnym rodzajem uwzględnienia, właśnie jak gdyby miał obowiązek wykształcenia znakomitej osoby.

Zewnętrzna postać Kamilla wskazywała chrześcijańskiego mędrca; głównem znamieniem jego twarzy była powaga. Ubiór nie był ubiorem walencyjskich węglarzy i świadczył, że ów cudzoziemiec z młodości nie pracował w kopalni. Jeszcze więcej uderzała postać Alberta; czyż podobna, aby ten powabny, delikatny młodzieniec miał się urodzić w chacie węglarza?

Takie myśli przychodziły ludziom do głowy, kiedy w święto Kamillo z Albertem szli do kościoła, aby tam oddać pobożnie hołd Najwyższemu. Usiłowano wprawdzie zbadać tę tajemnicę, lecz grzeczność nie pozwalała stawać się natrętnym temu, który swem postępowaniem zasługiwał na szczególny szacunek.

Pod względem wykształcenia tak umysłowego jak i cielesnego powierzonego sobie ucznia doszedł zręczny mistrz do wysokiego stopnia. Nauczył go rzucania włócznią i robienia siekierą, przez co Alberto nabrał krzepkości i sprężystości muszkułów. Więcej jeszcze działał rozsądny mistrz na umysł swego ucznia. "Kochany Albercie," mawiał do niego "ażebyś

nie doznał kiedy osłabienia wiary, ale żebyś ją miał zawsze żywą w dobrych uczynkach i żebyś ją gruntowniej w serce swoje wpoił, radzę ci, czytaj często Pismo święte. Lecz czytaj je w pokorze ducha, nie zaś z ciekawości, i nie kuś się na rozbieranie prawd bożych, be one nie są dla sądu słabego rozumu człowieka. Uprzytomnij sobie zawarte tam boskie działania Zbawiciela, bierz do serca Jego wzniosłe nauki, umiłuj je i przyswój je sobie."

"Spojrzyj na mnie, kochany Alberto," mówił dalej Kamillo, "widzisz we mnie zgrzybiałego starca, którego zowiesz Kamillo. Może to wkrótce nastąpić, że ty z płaczem złożysz zimne moje zwłoki w ziemi obok kopalni, aby tam spoczywały aż do sądu ostatecznego. Dusza moja stanie natenczas przed tronem sprawiedliwego a potężnego Sędziego, przed którym żadna nasza czynność nie znajdzie się całkowicie czystą, a i najcnotliwszy człowiek według naszego zapatrywania wobec Niego nie okaże się jeszcze zupełnie niewinny!.. Na tę myśl rozpacz mnie brać powinna!.. Lecz nie, gdyż wiara w zasługi męki Zbawiciela budzi w sprawiedliwych nadzieję i ufność,

że Bóg daruje im ich ludzkie niedołężności; że skoro czynili ze swej strony co mogli, resztę niedostatku zapełni Jezus Chrystus swemi zasługami. Wierzaj mi, ta wiara nie jest żadnem mamidłem, jak ją lekkomyślni i na zwierzęcem życiu swą szczęśliwość zasadzający ludzie być mniemają. Nie wierz im, bo i oni sami kiedyś, chociaż niestety zapóźno, przejrzą i z rozpaczą zawołają: "o, my nierozumni! mówiliśmy, że pełne umartwień i trudów, pełne cierpień i nadziei życie sprawiedliwych jest niedorzecznością, i przemija w cichości bez czci i sławy... a oto oni teraz się radują i policzeni są do synów Boga!" Uwierz twemu prawdziwemu przyjacielowi, który cię tu do tego ustronia sprowadził, aby cię zabezpieczyć od zgubnych zasad i gorszących przykładów. Dochowaj danych ci nauk stale i wiernie, ażebyś i ty przy schyłku twego żywota mógł również z taką spokojnością i nadzieją oczekiwać śmierci, jak ja mojej wyglądam!"

Tak Kamillo napominał swego ucznia, który łzami wdzięczności skrapiał ręce swego nauczyciela i drżącemi usty przy-

rzekał, że jego nauk dochowa z jaknajwiększą ścisłością.

W ten sposób upływały dnie, miesiące i lata. Alberto kończył rok czternasty życia, zatem dożył czasu przejścia z dzieciństwa do wieku młodzieńczego. Pączek młodocianny rozwinął się nadobnie.

Rzucone tedy i owedy przez mistrza myśli, również wspomnienia z pierwszych lat życia, były powodem, że się zaczął zastanawiać nad swym stosunkiem do Kamilla; pojmował, że nie jest jego synem i że nad jego pochodzeniem gruba spoczywa tajemnica, z której zapragnął zedrzeć zasłonę.

Uważał to dobrze Kamillo, a ubolewając nad strapionym chłopcem, nieraz westchnąwszy myślał sobie: "oby ten nieszczęśliwy tułacz jeszcze przed naznaczonym czasem wrócił i zwolnił mnie z obowiązku dochowania tajemnicy. Posępność i zmartwienie tego chłopca wzrusza mnie do łez! Ale że też to ów tułacz od ostatniego przelotnego zjawienia się w Salamance żadnej o sobie wiadomości nie daje!.. Ha, jakże mógłby ją też dać, kiedy nie wie, dokąd

Fernando-d'Arjas udał się z powierzonym sobie synem?"

W wigilią swych urodzin siedział Alberto na wzgórku zatopiony w myślach, a łzy zrosiły mu lica. Kamillo po ukończeniu pracy dziennej zaszedł go w owem bolesnem zadumaniu, lecz udawał, jakoby jego smutku nie uważał, nie chcąc sam podać sposobności do stawiania pytań tyczących się owej tajemnicy. Zawezwał go na przechadzkę. "Chodź ze mną," rzekł, "pokażę ci urocze okolice Walencyi, które dziś będą tem malowniczej wyglądały, bo księżyc wzejdzie w pełni. Znam pewną ścieżkę, którą w godzinę dojdziemy do naszego celu."

Idąc, rozmawiali o rozmaitych przedmiotach. Rozmowa ta była pouczającą, bo Kamillo żadnej nie opuszczał sposobności, aby kształcić serce młodzieńca i umysł jego zbogacać w wiedzę. Czynił to chętnie, bo wiedział, że ziarnka nauki padają na dobrą, pod zasiew starannie uprawioną ziemię. Stanęli wreszcie na krańcu boru, a wtedy uderzył ich czarujący widok żyznych nizin Walencyi. Zachwycony tym widokiem Alberto rzekł do mistrza swego:

rzekał. "Ojcze, dlaczegoż to raczej tego tak szą ozkosznego miejsca nie obierzesz za mieszkanie?"

"Tego obecnie uczynić nie mogę," odrzekł Kamillo z bolesnem ucuzciem w sercu, lecz z uśmiechem na twarzy, "muszę się poddać konieczności. Wierz mi, że musimy koniecznie mieszkać w kniei z wilkami, gdyż te zwierzęta są dla nas lepszymi sąsiadami, mniej okrutnymi i podstępnymi, aniżeli byli ludzie względem twego ojca i ciebie, kiedy ten mieszkał w podobnie pięknej okolicy i opływał tak w dostatki jak i honory, które w nich zazdrość obudziły. Musieliśmy wszystko porzucić, spiesznie uchodzić i zamieszkać w tej oto puszczy, która nas kryje przed prześladowaniem nieprzyjaciół naszych... Z tego jednakże nie sądź, ażeby już wszyscy ludzie byli dla swych bliźnich okrutnymi. Wspominając tylko o niektórych złośliwych, nie miałem zamiaru gasić tej świętej iskry miłości bliźniego, którą z pomocą bożą rozniecił em w twem sercu. Nie, tego nie miałem na myśli, gdyż, mój drogi Alberto, znajdziesz jeszcze ludzi godnych tego miana tak w pałacach jak w chatach—tak w bo-

gatych miastach jak w ubogich wioskach... Spojrzyj-no, Alberto, tam oto w tę stronę, widzisz ów starożytny zamek na skale, wystający wysoko z pośród pięknych drzew swemi gotyckiemi wieżami? Wszakże on wygląda, jakby nas zapraszał w odwiedziny!... Jak słyszałem od naszych sąsiadów, to właściciel zamku ma być człowiekiem nieco ponurym i prędkim; sprowadziwszy tu swą rodzinę, wrócił na dwór królewski, gdzie jakiś wysoki piastuje urząd, a hrabina zamieszkała tu teraz na lato z dwojgiem dzieci. Ma to być zacna pani, pełna litości dla nieszczęśliwych. Zrobię ci tę przyjemność, że ów zamek odwiedzimy, gdyż być może, że kiedy mnie już na świecie nie będzie, zapoznanie się twe z ową rodziną nie zostanie bez korzyści. A choćby i to nie, to w każdym razie zyskasz na tem, gdy poznasz wyższe towarzystwo i wzorowe pożycie... Trzeba nam jednakże wielce mieć się na ostrożności, aby nas jaki szpieg nie wyśledził i nie oddał świętej inkwizycyi, która sięga z Madrytu aż w najodleglejsze zakątki państwa."

"Cóż to jest ta święta inkwizycya?" zapytał młodzieniec.

"Jestto sąd, mój Alberto, mający władzę ścigania heretyków i niedowiarków. Stara ta instytucya w kościele katolickim nie ma wobec czystej religii nic w sobie zdrożnego, gdyż pierwiastkowym istotnym jej celem jest czuwanie nad czystością i nieskazitelnością wiary. Ztąd zadaniem jej było śledzić powstające błędy, błądzących przyprowadzać do uznania swych błędów, a gdy je uznali, pojednywać ich z kościołem, a gdy ci zaś zuchwale trwają w swych błędach, wyłączać ich z towarzystwa wiernych. Na tem kończą się obowiązki i władza inkwizycyi. W naszej ojczyznie hiszpańskiej wyszła ta tak zwana święta inkwizycya z owych chwalebnych granic i przepisów, jakie jej Kościoł naznaczył, i skoro się dostała po większej części w ręce władzy świeckiej, stała się zakładem okrutnym. Najistotniejszy powód do wmieszania się władzy świeckiej w inkwizycyę dali Żydzi, ponieważ nietylko ściśle złączyli się z Maurami, nieprzyjaciółmi Hiszpanii, grożącymi zniszczeniem tak religii jak kraju, ale nawet podobno pozwalali sobie gwałtem dokonywać obrzezania na chrześcianach. Były to więc zbro-

dnie nietylko przeciw wierze, ale i przeciw krajowi, ztąd też władza świecka wcisnęła się do inkwizycyi i zamieniła ją właściwie na trybunał cywilny. Obecny papież Sykstus IV już trzeci rok protestuje przeciw temu nadużyciu. W jednem ze swoich rozporządzeń surowo nagania okrutność tego trybunału i wyznacza arcybiskupa w Sewili jako najwyższego sędziego, do którego winowajcy będę mogli odnieść się z apelacyą... Ale cóż pomogą wszelkie jego usiłowania wobec potężnego mocarstwa? Okrucieństwa dzieją się pod płaszczykiem sprawiedliwości, a mściwy i zacięty Hiszpan dopuszcza się niejednokrotnie denuncyacyj przeciw niewinnym, przeciw którym stawiają fałszywych świadków, a inkwizycya skazuje nieszczęśliwych na zgrozą przejmujące kary..."

Alberto wysłuchał powyższej mowy mistrza, jak zwykle, z uwagą.

"Ojcze!" zawołał, kiedy ten skończył, "ale cóż nas owa inkwizycya obchodzi?"

Kamillo się zasępił.

"Nie pytaj mnie w tym względzie," rzekł, "serce bowiem mi się krwawi na wspomnienie zdarzenia, którebym ci przy

odpowiedzi na pytanie opowiedzieć musiał. W swoim czasie dowiesz się wszystkiego... Jednakże nie sądzę, aby opowiedziane okoliczności przeszkadzały nam w zamierzonych odwiedzinach. Mnie bowiem kurz węgli zmienia do niepoznania, a ty, będąc nieznanym, możesz się na zamku pokazać jak jesteś. Niechby tylko starego mistrza uznali za węglarza, to reszta fraszka, bo przecież i węglarz może mieć nadobnego syna."

Po tych słowach dobył z zanadrza maleńkie pudełeczko, a otworzywszy je, pokazał uczniowi.

"Patrz," rzekł "oto kosztowny dar dla pani tego zamku. Jestto owoc mej pracy w kopalni, w której kilka takich kamyczków znalazłem; są to ametysty i szafiry, drogie klejnoty, a sądzę, że jej się będą podobały. Ty zaś, Alberto, nazbierasz kwiatków, w które okolica nasza tak bogata, i z tych ustroimy bukiety dla dzieci. Jutro, gdy przyjdziemy na zamek, a dzieci, jak się tego spodziewam, wyjdą nam naprzeciw, wtedy oddasz im dwa bukiety, a tem samem ułatwisz drogę do zapoznania się wzajemnego."

Tak rozmawiając wrócili do chatki, gdzie w rzewnej modlitwie poleciwszy się Bogu, udali się na spoczynek.

III.

Odwiedziny na zamku.

Wschodzące słońce czarująco ozdobiło okolicę. Zamek starożytny, z szczerniałymi murami, nabrał teraz zachwycającego uroku, a krople rosy, wiszące niby perły na listkach drzew i kwiatów, błyszczały w promieniach słońca tak cudownymi kolorami, jakich żaden pędzel malarski wyobrazić nie jest zdolny. Lekki wietrzyk muskał po nadobnem kwieciu, nasycając powietrze ich wonią, a pienia rozlicznego ptastwa napełniły całą okolicę rajską muzyką.

Wszystko to głosiło wszechmocność i dobroć Boga, piejąc hymny w języku zrozumiałym temu, kto ma duszę przejętą wiarą; a człowiek, rozumiejący głos przyrody, czyż z nią razem nie będzie uwielbiał swego najwyższego Dobroczyńcę?

Pani zamku, hrabina Izabella de Mendoza, była jedną z tych czułych na Wszechmocność Boga niewiast, pełna wiary, miłości i nadziei. Wyszedłszy do ota-

Biblioteka Śląska

czającego zamek obszernego ogrodu, zwróciła na świetność przyrody i potęgę Stwórcy uwagę swych dwojga dzieci: dziesięcioletniej dziewczynki Blanki i trzynastoletniego chłopca Jana. Tu wezwała je słowem i przykładem do oddania czci należnej najwyższemu Panu, i to tak, jak Zbawiciel naucza: w duchu i w prawdzie.

Po odmówieniu rannych pacierzy odczytała hrabina swym dzieciom historyę o potopie, wskazawszy przytem na bozką sprawiedliwość, karzącą złych ludzi, a taczającą szczególniejszą miłością tych, którzy swemu Stwórcy wiernie służą.

"Bóg jest najwyższą i najdobrotliwszą istotą," kończyła swe macierzyńskie napomnienia, "od Niego zależą wszelkie nasze czynności i od Niego je też rozpoczynać powinniśmy, żeby im błogosławić raczył, gdyż bez Jego błogosławieństwa próżne nasze trudy i mozoły. Do niego muszą się także wszystkie czynności nasze odnosić, a wtedy je, choćby i najdrobniejsze, Bóg uświęci i obróci na korzyść naszą... Tak więc rozpoczęłyście dzień z Bogiem, przeżyjcie go też na chwałę bożą; bądźcie prze-

to skromnemi, dobremi dziećmi, bo takie tylko Bóg kocha."

"Nieprawdaż, matko?" zawołał Jaś, "wszakże my mamy być tak dobremi, jak ten chłopczyk węglarza, który co niedzielę tak pobożnie w kościele się zachowuje!"

Matka uśmiechnęła się i zapytała, czy mu się podobał.

"O!" wykrzyknął chłopiec, "bardzo mi się podobał, i Blance się także podobał. Jeźliby matka pozwoliła, mielibyśmy z niego dobrego towarzysza."

"Rozważyłeś też sobie, mój Jasiu, coś wyrzekł? Pomnij tylko na ową wielką różnicę, zachodzącą pomiędzy nim a tobą. Tyś synem hrabiego, a on węglarczyk! Dałoby się to jedno z drugiem pogodzić?"

"A!.. mama żartuje!" zawołał Jaś, "wszakże nam mawiałaś, że suknia nie czyni człowieka. Każdy człowiek, jakiegokolwiek on stanu, jest naszym bliźnim, naszym bratem; a że ten chłopczyk jest tak ugrzecznionym, dlaczegoż nie mielibyśmy z nim obcować?.. Już wiem, że matka pozwoli nam go odwiedzić w jego chatce."

Hrabina ucałowała syna, ciesząc się, że jej nauka zaszczepiła się w sercu dziecka

i że go nie unosi nierozsądna duma. Przyrzekła więc, że może w najbliszą niedzielę po południu sama z niemi pójdzie do kopalni.

Wtem do altany, w której hrabina znajdowała się z dziećmi, wszedł zawiadowca zamkowy, i skłoniwszy się tak pani jak dzieciom, rzekł:

"Przed bramą stoi ów tajemniczy węglarz z worem węgli, i prosi, aby je kupić od niego. Wprawdzie jesteśmy zaopatrzeni należycie we węgle, lecz zdaje mi się, że on potrzebuje pieniędzy na jakie niezbędne wydatki. Czy pani każesz kupić?"

"A owszem!" zawołała hrabina, "pospiesz, mój Alonzo, odbierz węgle i daj mu podwójną zapłatę. Wierzę, że ten człowiek ma swoje potrzeby i pragnie zapomogi, czego nie śmie wypowiedzieć; takim ludziom trzeba dać wsparcie bez proszenia."

Zawiadowca zwrócił się, aby wypełnić rozkaz, gdy nagle Jan go powstrzymał.

"A jest z nim też chłopczyk?" zapytał.

"Jest, jest!" odrzekł zawiadowca.

Na tę odpowiedź zwróciły dzieci błagająco oczy na matkę, która, zrozumiawszy, o co chodzi, rzekła do zawiadowcy:

"Alonzo, każ przyjść obydwom do mnie, a służący niech przyniesie śniadanie dla dzieci i trzecią porcyę dla węglarczyka."

O! ileż ten rozkaz dzieciom sprawił radości! Byłoby może nie było końca dziękom, gdy wtem węglarz z chłopcem stanęli przed altaną, i odkrywszy głowy, oddali pokłon hrabinie i dzieciom.

Wtem, gdy hrabina powstała, nagle Kamillo zbladł i począł się chwiać.

"Boże wielki!" szepnął sam do siebie, "otoż wpadliśmy w ręce nieprzyjaciela!"

Hrabina jednakże zbliżyła się do niego, podała mu uprzejmie rękę i ubolewała serdecznie nad jego słabością.

"Starość nie radość," rzekła, "widocznie zdźwigałeś się węglami, a ztąd zrobiło ci się słabo. Siadaj w altanie, odpocznij i pokrzep się śniadaniem."

Skoro węglarz poznał, że Izabela de Mendoza nie poznała Fernanda d'Arjas'a, przyszedł całkowicie do siebie, nabrał ducha, pokłonił się hrabinie, dobył z kieszeni pudełko, i w te przemówił słowa:

"Dostojna pani! nie chciej pogardzić tem, co ci sama daje przyroda. W łonie ziemi znalazłem te oto klejnoty; nie po-

trzebne są one w chacie węglarza, lecz mogą być ozdobą dla ciebie, zacna pani. Ofiarując ci je, mam zamiar przez to wyrazić, że umiem cenić gościnność."

Teraz przystąpił i Alberto, a oddając dzieciom bukiety, przemówił:

"Dar mój jest wprawdzie mniejszym od daru mego ojca, lecz z równą szczerością ofiarowany tym, do których mnie pociąga szacunek."

Ofiary i wzięcie się gości zadziwiły niemało hrabinę. Zadumała się i pomyślała sobie, że to nie może być istotny węglarz i że pod tą powłoką pyłu ukrywa się coś wyższego. Lecz jakże dojść tajemnicy? Natręctwem nagłem narazić się nie podobna.

Wtem wniesiono śniadanie, a gdy dzieci ze swojem się uskromniły, wybiegły do ogrodu. Węglarz kończył jeszcze swoje.

"Słyszałam, mój dobry staruszku," zaczęła rozmowę hrabina, "że dopiero od kilku lat mieszkasz w okolicy naszego zamku. Sądzę, że musi ci być przyjemnie mieszkać w tak powabnej dolinie, oczywiście przypuszczając, że cię nie gniecie jakie

zmartwienie, gdyż w takim razie człowiek nigdzie szczęśliwym się nie uczuje."

Starzec westchnął głęboko i spojrzał znacząco w oczy hrabiny.

"Łatwo uwierzyć," odrzekł, "że powabna samotna okolica mego mieszkania odpowiedniejszą jest dla mnie, aniżeli dla mego chłopca. Z mej strony wystarcza mi moja biedna chatka na bezprzestanne opłakiwanie cudzego nieszczęścia, lecz dla chłopca mego jest tam zaciasno, i z latami stanie się coraz ciaśniej, gdy duch jego tak silnie rozwijać się będzie, jak się dotąd rozwija... O! biedny, nieszczęśliwy Alcerto! zaiste godzien jesteś lepszego losu, niż ten, który ci złość ludka zgotowała!"

Tu przestał mowić, bo łzy mu przeszkodziły, i wreszcie poznał, że mówi za wiele. Ztąd odchodząc od rzeczy, zwrócił mowę na piękność ogrodu, wychwalaląc cudne jego drzewa i kwiaty.

Hrabina, zauważywszy, że trafiła w naprężoną strunę jego serca, nie popuściła wątku, lecz wróciła znowu do rzeczy.

"O prawda!" zawołała, "są na świecie ludzie bardzo mściwi, zawzięci, podej-

rzliwi, które to wady mianowicie przypisują narodowi hiszpańskiemu... Ale czyż niema żadnego widoku, aby owa nieprzyjaźń nie wzięła końca? Błądzić jest to rzecz ludzka, lecz czyż nie miałoby być nadziei, aby błądzący uznał, że źle czyni? Czyż Bóg dobrotliwy nie może zesłać jakiego anioła, jaką okoliczność, która błędnemu oczy otworzy i nauczy go w rzekomym nieprzyjacielu uznać życzliwego sobie brata?.. Nie traćmy nadziei i nie sądźmy źle o wszystkich ludziach! Ale mówiłeś dopiero co szanowny starcze... Wybacz," przerwała sobie hrabina, "że ani nie spytałam o twoje nazwisko; zaręczam, że współczucie w twoich cierpieniach było powodem mego zapomnienia."

"Kamillo jest moje imię," odrzekł dobrocią pani widocznie ujęty starzec.

"Kamillo! aż nadto jawnie widzę, że nie jesteście węglarzem. Wasza postawa, wasza obyczajność w połączeniu z uprzejmością, wreszcie wasze oświecenie potwierdzają mój domysł, bo tego wszystkiego nie możnaby napotkać u węglarza z Walencyi... Szanuję tajemnicę waszego imienia, nie chcę was badać, coście za je-

dni, lub co za jeden ten wasz rzekomy syn. Jednakże, jeźli was jakie brzemię ciśnie, to możecie się przedemną zwierzyć, boć i samo zwierzenie się przynosi sercu ulgę."

"Prawda jest, szanowna pani," odrzekł starzec, "węglarzem nie jestem, a kołyska mego chłopca stała w okazalszem bez porównania miejscu, niźli moja biedna chata węglarska. Nazywaj mnie pani mistrzem Kamillo, a tem samem zbliżysz się do nazwy odpowiedniej memu stanowisku, jakie dawniej w świecie zajmowałem. Co się tyczy zaś mych cierpień, nie żądaj pani odemnie odkrycia tajemnicy i przebacz, że ci jej wyjawić nie mogę, albowiem ona stoi w najściślejszym związku z historyą owego chłopca, a mnie wiąże w tym punkcie dane słowo. Szanowna pani! znajduję w tobie tyle dobroci serca, że się ośmielam cię prosić, abyś zechciała dopomódz do pojednania dwóch poróżnionych osób. Naprowadzić zwaśnionych ludzi na drogę bratniej miłości jest zarówno szlachetnym czynem, jak i Bogu najmilszą ofiarą. 'Błogosławieni pokój czyniący, albowiem synami Bożymi nazwani będą,' zapewnia nas Zbawicl i temi słowy wskazuje, jak w tym

względzie podejmowane zachody są mu miłymi, i przyjemną te zachody podejmująca osoba. Pani, pokładaj nadzieję w Bogu; On twoje usiłowania dobrym skutkiem uwieńczy, i ty dwie nieszczęśliwe istoty wyrwiesz z ich rzeczywistego nieszczęścia."

Chciał jeszcze coś więcej mówić, lecz mu przerwały dzieci, które w tej chwili wbiegły do altany. Jan miał przez ramię przewieszony łuk misternej roboty i kołczan pełen strzał.

"Matko!" wołał już zdaleka, "patrz jaki to zręczny strzelec, ten Alberto. Ledwie łukiem zmierzył, ledwie furknęła strzała, a już też przestała żyć owa niegodziwa kania, która nam tyle piskląt naporywała. Walny z niego strzelec! Ach! gdybym i ja tak umiał strzelać!"

Blanka zaś przytuliła się do matki.

"Mamo!" szepnęła po cichu z dziewiczą nieśmiałością, "wiesz jak temu chłopcu na imię?.. Alberto mu imię!.. Niechno mama rozważy, ile to szkody narobiła nam ta kania, ile to naporywała kacząt i kurcząt, aż biedaczki obawiały się wyjść z kurnika, teraz będą mogły śmiało chodzić

po dziedzińcu. Więc za tę przysługę trzeba Alberta wynagrodzić, nieprawdaż?"

Alberto stał w progu altany, trzymając w ręku olbrzymią kanię, będącą właśnie w ostatnich śmiertelnych drganiach. Wyglądał spokojny, niby żołnierz na polu bitwy, dumny z położonego trupem nieprzyjaciela.

Kamillo uśmiechnął się radośnie.

"Alberto," pochwalił, "na pierwszy wstęp dobrześ się spisał."

Teraz Jan przystąpił do matki.

"Matko!" zawołał, "bez nagrody tak zręcznego strzelca puścić nie można. Mojem zdaniem najmilszą mu będzie ofiarą — ta broń, którą się właśnie odznaczył... Pozwoli mama?"

Hrabina z uśmiechem skłoniła głową na znak zezwolenia. Jan z radością zdjął ze siebie łuk i kołczan i oddał Albertowi, który z uniesieniem pochwycił podane sobie rzeczy, do których tak długo wzdychał, i podziękowawszy tak Janowi jak i hrabinie, przewiesił przez ramię.

Tak Alberto w tej chwili, ustrojony w łuk i kołczan, trzymający w ręku jako łup

zwycięzki ubitą kanię, przedstawiał istotnie walecznego rycerza.

Kamillo spojrzał znacząco na hrabinę. "Powinnością na mnie włożoną było wpoić w serce chłopca gruntownie Wiarę, dla towarzystwa uprzejmość, w kniejach i na polu bitwy odwagę i męztwo, zręczność i hart ciała... tej powinności starałem się dopełnić!... Dni moje policzone, Bóg mnie wnet odwoła z tego świata... a chłopiec zostanie opuszczony... może nawet niepoznany!"

Ucichł, bo łza spłynęła mu po licu i głos w piersi zamarł. Powstał, bo już był czas do powrotu. Przy pożegnaniu dzieci ubolewały nad rozstaniem się z ukochanym towarzyszem, a odwiedziny zdawały się o wiele zakrótkie. Matka jednakże pocieszyła ich, że to przecież nie ostatnie odwiedziny, a zwróciwszy się do Kamilla, prosiła go, aby często na zamek przybywał, dodając, że dla niego jest wstęp wolnym o każdej porze i że cieszyć się będzie, skoro Kamillo z jej zaproszeń skorzysta.

Hrabina odprowadziła gości aż do bramy. Gdy młodzież wybiegła naprzód,

Kamillo pocałował hrabinę w rękę i rzekł z uszanowaniem:

"Dostojna pani! mam do ciebie wielkie zaufanie. Daruj staremu mistrzowi, że śmiem ci stawić moje natrętne pytanie. Otóż proszę, gdybym ja, starzec osiwiały, poczuł zbliżającą się śmierć, czy wolno byłoby mi przed zgonem prosić panią dobrodziejkę do siebie, żebym mógł w jej ręce złożyć mą tajemnicę?"

"Chętnie, bardzo chętnie," odrzekła hrabina ze łzami w oczach, "o każdej chwili służyć ci będę na zawołanie."

Kamillo skłonił się, a po wzajemnem pożegnaniu spiesznie przeszedł most, dążąc ku domowi. Alberto szedł obok niego. Obaj szli długo w milczeniu. Mistrz był niespokojny, bo mu się raz zdawało, że zawiele, drugi raz, że zamało powiedział; to go jednak wielce cieszyło, że w hrabinie znalazł wspaniałomyślną osobę, i że sobie nie mało ulżył przez cząstkowe zwierzenie się, a co najwięcej, że w razie potrzeby ma już utorowaną drogę dla pomyślności swego wychowańca.

Ten zaś milczał, dlatego, że przywykł w podobnych usposobieniach swego mis-

trza nie przerywać jego dumania, lecz czekać, dopóki sam nie zacznie.

Jakoż po niejakim czasie odezwał się Kamillo:

"No, jakże podobało ci się w zamku?"

"Dobrze! o, bardzo dobrze, kochany mistrzu!" zawołał Alberto, "tam jest daleko piękniej, aniżeli w naszej małej chatce. Mnie się zdawało, jakobym ja tam był we własnym domu, a bawiąc się z temi tam dziećmi, zdało mi się, że jestem pomiędzy równymi."

Kamillo spojrzał nań z uśmiechem. "Hrabina," rzekł, "jest to wielkoduszna i wspaniałomyślna pani, a zarazem wzorowa katoliczka. Z początku, gdym ją zobaczył, przeląkłem się niemało, lecz gdym się z nią lepiej zapoznał, wzrosła nadzieja w mej duszy. O,Alberto! jeżeli nam Bóg w pomoc przyjdzie, o czem ani na chwilę nie wątpię, to zobaczysz... twego ojca!"

Chłopiec przystanął, pochwycił mistrza za rękę i ucałował ją z największem uniesieniem. Spojrzawszy w niebo, jakby błagał Boga o ziszczenie obietnicy, przycisnął rękę starca do radośnie bijącego serca i zaczął rzewnie płakać.

Kamillo mu nie przerywał, owszem pozwolił mu się wypłakać, wiedział bowiem, że łzy nadziei ulżą strapionemu.

Gdy przybyli do chatki, odezwał się Kamillo: "Alberto! bez mego pozwolenia nigdy nie pójdziesz do zamku,a gdyby hrabia de Mendoza wrócił z Madrytu, stołecznego miasta Hiszpanii, i na zamku się znajdował,wtenczas nie wyjdziesz mi nawet po za obręb naszego boru!.. Byłeś mi zawsze posłusznym, więc spodziewam się, że i w tym względzie rozkazu mego usłuchasz, zwłaszcza, że tego wymaga twoje i moje bezpieczeństwo."

Alberto przyrzekł uroczyście do rozkazu się zastosować, poczem udali się do zwykłej dziennej pracy.

IV.

Odjazd przyjaciela.

Hrabina zwykle mieszkała w Madrycie, raz że musiała być przy mężu, powtóre do wykształcenia dzieci; latem zaś po parę miesięcy bawiła na zamku w Walencyi. To był właśnie czas pożądany przez Kamilla i Alberta, gdyż wtedy albo sami zamek od-

wiedzali, albo hrabina przybywała z dziećmi do nich. Skoro wiosenną porą odmłodniła się okolica, wtedy Alberto z utęsknieniem wyglądał wiadomości, kiedy go wezwą do zamku, bo to zwykle następowało, gdy hrabina zjechała z dziećmi ze stolicy.

W cztery lata po pierwszem zaznajomieniu się, gdy na zawezwanie stanął Alberto ze swym mistrzem na zamku, znalazł w swych młodych przyjaciołach wielką zmianę. Jan zmężniał, a kształcąc się w czasie zimowym pod znakomitymi mistrzami, nabrał wiele wiadomości i jego rozum naturalny rozwinął się w całej pełni. Przez ćwiczenia w turniejach i robienie bronią ciało jego wzmocniło się należycie, tak, że czerstwość zastąpiła miejsce dawnej słabowitości.

Większe jeszcze wrażenie wywarł na Albercie widok nadobnej dziewicy. Przed czterema laty była Blanka jeszcze dzieckiem, teraz atoli dziewicą rozkwitającą. Sam Kamillo podziwiał oboje i rzekł: "czego też to czas z człowieka zrobić nie może!" a zcicha szepnął do siebie: "oby też zagoił rany serca mego!"

Alberta ogarnęło jakieś uczucie poniżające i skutkiem tego stał się nieśmiałym. Widział on tylko przyjaciół swych w kwiecie rozwinięcia, lecz że i na niego tak samo czas korzystnie płynął, to mu wcale na myśl nie przyszło, Kamillo bowiem umiał wpoić w jego ducha pokorę i umiarkowane o sobie samym mniemanie. Stał więc na uboczu, sądząc, że teraz pomiędzy nim a towarzyszami dzieciństwa nastał jakiś przedział, który nie tylko zbliżeniu się wzajemnemu zawadza, lecz nawet różnica stanu wręcz je czyni niemożebnem.

Lecz mylił się Alberto. Hrabicz bowiem, ujrzawszy go, poskoczył ku niemu, uściskał i ucałował po przyjacielsku. To ośmieliło młodzieńca z doliny, bo widział, że dawna przyjaźń nie wygasła.

Ośmielony postępkiem brata, przystąpił do siostry i ucałował podaną sobie rączkę. Blanka przez kilka minut wpatrywała się skromnie z uśmiechem w młodzieńca, który znowu ze swej strony nie mógł się powstrzymać, aby nie wyrazić swego zdziwienia nad jej rozkwitnieniem.

Hrabina, uważając Alberta nie za węglarczyka, lecz za osobę pochodzącą z wyż-

szego stanu, jak się tego z kilku napomknień Kamilla domyśleć mogła, zganiła mu tę nieśmiałość.

"Z tą szczerością," rzekła, "z jaką żyliście wzajemnie w dzieciństwie, żyjcie i nadal, czas bowiem nie powinien niszczyć owej pięknej cnoty, która się zowie przyjaźnią, a która wywołała u was tak podobieństwo skłonności, jak jedność zdań i obyczajów. Owszem, teraz dojrzałość umysłu powinna wzmocnić jeszcze ów węzeł przyjaźni zawiązany w dzieciństwie."

Gdy i Kamillo to zdanie potwierdził, wtedy dawna serdeczność odżyła pomiędzy młodzieżą. Nastąpiły dnie wielkiej uciechy i radości. Tak hrabina, jak i mistrz nie opuścili żadnej nadarzającej się sposobności kształcenia ducha i serca młodzieży. Ale na czole Kamilla osiadła chmura, gdy wyrozumiał, że usiłowania hrabiny celem przełamania zawziętości męża przeciw hrabiemu de Palma spełzły na niczem. Wiara jednakże żywa w mądre i święte rozporządzenie Opatrzności boskiej i wylanie ducha przed Najwyższym w gorącej modlitwie, którą codziennie do niebios zasyłał, napełniały serce jego nadzieją. Młodzieńca zaś,

który go nagabywał o odkrycie tajemnicy, odsyłał na późniejszy pomyślniejszy czas.

Tak przeszło kilka miesięcy, gdy naraz gruchnęła po okolicy smutna wiadomość, że hrabia Mendoza przybył z Madrytu na zamek, ażeby spiesznie syna zabrać ze sobą do stolicy. Alberto płakał rzewliwie i nawet mistrz Kamillo pocieszyć go nie zdołał, a to tem więcej, że wyraźny zakaz udania się na zamek zabraniał mu oddać przyjacielowi ostatnie może pożegnanie.

Wieść ta nie była płonną. Już późno wieczorem wszedł hrabia Fernando de Mendoza do pokoju hrabiny.

"Nadarza się, mój Janie, piękna sposobność," rzekł po krótkiem przywitaniu syna, "w której masz ofiarować narodowi hiszpańskiemu zdatności umysłu i siły ciała na usługi. W tych dniach zostało opróżnione miejsce chorążego w królewskiej przybocznej gwardyi, a to miejsce za mojem wstawieniem powierza król tobie. Z uciechą czułego ojca zawiadamiam cię o tem, i spodziewam się, że odpowiesz godnie zacności domu Mendozów, a w ten sposób postępując, możesz być pewnym

stopniowego wyniesienia. Przygotuj się do podróży, gdyż z braku czasu już za trzy dni rano wyjeżdżamy!"

Jakkolwiek świetne stanowisko Jana dom cały napełniło radością, to jednakże potrzeba nagłego rozłączenia się zasmuciła matkę i siostrę na moment—na moment mówię, albowiem uspokoiły się na myśl, że skoro jesienią udadzą się do stolicy, to znowu się połączą. Zajęto się więc wyprawą młodego chorążego.

Tymczasem gdy ojciec podróżą zmęczony jeszcze wypoczywał, wyszedł Jan tajemnie z zamku i znaną sobie ścieżką udał się do chaty węglarza, aby pożegnać swego przyjaciela. Smutne to były odwiedziny i bolesne pożegnanie!

"Ach! kochany Alberto!" wyrzekł hrabicz, ściskając serdecznie przyjaciela, "oby ty być mogło, żebyś także mógł ze mną udać się do stolicy!.. Oto tu moja ręka, że nigdy o tobie nie zapomnę i że zawsze i wszędzie będę się starał okazać, że jestem twym prawym przyjacielem!"

Alberto ze łzami w oczach uścisnął dłoń przyjaciela swego, a stary mistrz zrosił lica łzą ze wzruszenia. Winszując hra-

biczowi dostojeństwa,nie omieszkał dołożyć kilka słów zdrowej i rozsądnej rady, jakiej potrzebuje młodzieniec wychodzący z domu rodzicielskiego. Takim bowiem zdaje się, że mogą już żyć jak im się podoba, a tem samem popadają w błędy, z których nieraz trudno im powstać.

Kamillo i Alberto, odprowadziwszy aż za bór wspólnego przyjaciela, wrócili do domu ze ściśniętem sercem, gdyż w Janie utracili wiele z nadziei pomyślnego obrotu ich sprawy; ten zaś odchodził z najgorętrzą chęcią dania przy pierwszej lepszej sposobności dowodu, że jego oświadczenie przyjaźni nie było li tylko czczym frazesem.

Ostatnie dni i godziny szybko na zamku upływały, i nadszedł poranek, mający rodzinę Mendozów rozłączyć. Matka, która po raz pierwszy syna z pod swego dozoru wypuszczała, temi do niego przemówiła słowy:

"Idziesz, mój synu, tam, dokąd cię obowiązek względem ojczyzny powołuje. Powinnością twoją będzie prowadzić z chorągwią w ręku zwycięzkie wojsko narodowe do boju. Pożegnanie nasze jest smutnem, ale wierz mi, że chociaż oko zachodzi

łzami, jednakże serce matki raduje się, że wychowała syna na dobro ojczyzny.

"Synu mój, nie zapominaj nigdy tych napomnień, które ci od dzieciństwa dawałam. Powtarzać ci ich nie będę, bom pewną, że je masz głęboko w sercu i pamięci zapisane, jednakże co się tyczy obecnego twego powołania muszę ci jeszcze zrobić kilka uwag. Otóż miej zawsze Boga przed oczyma i rządź się wszędzie i zawsze znaną ci wolą Jego, a to uczyni cię odważnym i walecznym w boju, gdyż będziesz miał żywo w pamięci, że w ręku Boga spoczywają losy nasze, a on nimi mądrze i łaskawie rozporządza; nie pójdziesz także za złym przykładem lub namową ludzi lekkomyślnych, bo będziesz wiedział, że podstawą obowiązków żołnierza jest religia, gdyż bez niej staje on się rozkiełznanem, dzikiem zwierzęciem. Wierz, że wolą Boga jest, abyśmy miłowali naszych bliźnich, równych nam ludzi; żyj przeto w zgodzie z towarzyszami, ochraniaj bezbronnych, słabe wdowy i sieroty, i dziel się z niemi choćby resztą majątku twego. Przełożonym twoim bądź zawsze uległym i szanuj ich w każdym razie. Synem moim jesteś, lecz wiedz, że wtenczas

dopiero staniesz się drogim memu sercu, gdy w tobie znajdę godnego i cnotliwego człowieka; przeciwnie zadałbyś głęboką ranę sercu macierzyńskiemu, gdybyś zboczył od woli Boga i od życzeń twej matki."

Rozrzewniony Jan padł matce do nóg, a ta błogosławiąc go rzekła:

"Boże wszechmocny, racz wziąść tego młodzieńca w potężną Twą opiekę, aby nigdy nie zeszedł z drogi, którą ty postępować każesz twoim wiernym, aby doszli do wiecznej szczęśliwości. Tylko przy twem błogosławieństwie i pod twoją opieką może wydać owoc stokrotny owo ziarno nauki, które zasiałam w jego sercu!"

W tej chwili wszedł ojciec do komnaty, prowadząc Blankę ze sobą.

"Powóz już stoi do odjazdu," rzekł, "czas siadać... Nacóż robicie sobie pożegnanie trudniejszem ustawicznemi żalami? Przecież niezadługo ujrzymy się w stolicy, bo długoż do jesieni?.. Więc siadajmy bez zwłoki!"

Oddawszy córkę matce, a wziąwszy syna za rękę, poszedł naprzód, a matka z córką za nim. Przy powozie uściskali się

jeszcze raz wzajemnie. W chwili ostatniego pożegnania szepnęła hrabina mężowi:

"Fernando, wysłuchajże mych próśb i pogódź się z hrabią Rodrygo de Palma! Rozważ, że nasz boski prawodawca każe nam miłować bliźnich naszych, choćby nawet i nieprzyjacioł, a tymczasem Palma nie jest przecież twym nieprzyjacielem."

Na tę prośbę żony hrabia dumny zachmurzył czoło, siadł spiesznie do powozu i ruszył z synem w podróż. Hrabina z córką wróciły do komnaty, gdzie w zaciszu oddały się smutkowi.

V.

Zima w Madrycie.

Lato z całym swym urokiem było tym razem bardzo nudne dla mieszkańców zamku, gdyż usilnie pragnęli być przy swoich w stolicy. Blanka ustawicznie wyglądała oknem, upatrując skwapliwie, ażali liście nie spadają z drzew i nie dają hasła do podróży. Nigdy dotąd nie przyszło jej na myśl, aby ich zamek miał być nudnem więzieniem ze starych czasów rycerskich, dopiero zauważyła to od czasu wyjazdu bra-

ta, podczas którego niebytności odwiedziny mistrza z uczniem stały się rzadszemi. Czas jej tak leniwo upływał i tak nudziła się w murach zamkowych, że gdyby nie obecność matki, byłaby natychmiast wyjechała do Madrytu.

Żółwim krokiem nadeszły wreszcie dni jesienne, a z nimi czas wyjazdu do stolicy. Blanka, lubo się dawno na odjazd cieszyła, to jednak gdy Kamillo z Albertem przyszli ze łzami w oczach na pożegnanie do zamku, gdy młodzieniec prosił ją, aby pozdrowiła brata i oświadczyła mu, że gorąco pragnie służyć z nim przy wojsku,— natenczas zrobiło jej się ciężko na sercu. Smutna, podała mu rękę, zapewniając, że dopilnuje brata, żeby częściej pisywał.

Kamillo był tym razem więcej niż zwykle wzruszonym. Chciał odchodzić, pożegnał się, lecz go zawsze coś wstrzymywało, jak gdyby przeczuwał, że to pożegnanie jest już ostatnie, i że już więcej nie ujrzy tej zacnej rodziny... W końcu ucałował rękę hrabiny i jeszcze raz prosił, aby nie ustawała działać nad pojednaniem Mendozy z hrabią Rodrygo de Palma. Powiedziawszy to, właśnie jakby się prze-

zwyciężał, ujął Alberta za rękę i wyszedł z zamku.

Nazajutrz oddała hrabina zarząd zamku Alonzowi, i poleciwszy się opiece boskiej, wyjechała do stolicy. Ale jak smutne było jej przybycie!

Zaledwie powóz zajechał przed pałac Mendozów, kiedy Jan wybiegł na powitanie, ale wybladły i ze łzami w oczach przywitał matkę i siostrę.

Równocześnie, jakby z jednych ust, zapytały go, co mu jest.

"Chodźcie a zobaczycie," rzekł "ojciec niebepiecznie chory i już go lekarze opuścili. Początkowo zdawało się, że choroba weźmie pomyślny przebieg, przeto nie chciałem was doniesieniem zatrważać i zasmucać, ale teraz..."

Więcej już nie słuchały, tylko pospiesznie udały się do komnaty chorego i klękły przy łożu boleści.

Hrabia podał im wychudłą rękę na powitanie.

"Ach!" rzekł słabym głosem, "w jak smutnym stanie musimy się powitać!"

I łzy stanęły mu w oczach.

Lekarze zalecili spokojność, gdyż wzruszenie bolesnego powitania wyczerpało resztę sił chorego. Trzeba było mu dać kilka godzin wypoczynku, aby i tak już niebezpieczna choroba tem więcej się nie pogorszyła.

Hrabina całą noc błagała Boga o męstwo do zniesieniu bolesnego ciosu, jakim jej śmierć męża zagrażała. Nazajutrz rano stanęła przy łożu z podziwienia godną spokojnością i z pełną miłości delikatnością poczęła działać na sumienie męża. O, jakąż pociechą napełniło się serce o zbawienie męża troskliwej małżonki, kiedy go nad spodziewanie znalazło uległym! Pobożne myśli, które mu nasuwała, widocznie go cieszyły; prosił nawet, aby wezwano kapłana, któryby go opatrzył Sakramentami świętemi, co też niezwłocznie nastąpiło.

Tymczasem cierpienia coraz się wzmagały. Hrabina, upatrzywszy dogodną chwilę, poruszyła znowu stosunek do hrabiego Palmy.

Cierpiący podał jej rękę.

"Twoje życzenie," rzekł słabym głosem, lecz z uśmiechem, "spełni się, moja drogo żono. To mi tylko bolesnem, że na

pierwsze twoje życzenie nie uczyniłem tego, co mi powinność chrześciańska nakazywała. Rodrygo de Palma obraził mnie, więc z zemsty podałem go do inkwizycyi, do czego mi własny sługa jego był pomocą. O, jakąż to byłoby dla mnie rozkoszą, gdyby Palma tu był i gdybym podawszy mu bratnią rękę, mógł prosić o przebaczenie. Lecz niewiadomo, gdzie nieszczęśliwy tułacz się obraca, a moje godziny policzone, i zapewne mi Bóg nie pozwoli dożyć tej pociechy, ażebym z jego własnych ust posłyszał słowa przebaczenia!"

Po chwili odpoczynku kazał sobie przywołać syna.

"Synu mój," rzekł, gdy stanął przy nim, "mam do ciebie zlecenie, które po mej śmierci ma być pierwszą twoją czynnością. Jest to już dla mnie pociechą, że krew moja w twych żyłach płynąca przywróci nieszczęśliwego tułacza do jego własności. W biórku mojem znajdziesz szkatułkę, a w niej dwa zapieczętowane listy. Jeden z nich jest zaadresowany do inkwizycyi w Madrycie. W tem piśmie jasno i dobitnie wyznaję, że mnie zemsta powodowała do denuncyacyi przeciwko hrabiemu Rodrygo

de Palma, jakoby był uległy kacerstwu. Żądam, aby mu wydano majątek, co niezawodnie nastąpi. Gdyby zaś dla jakiej nieprzewidzianej okoliczności nastąpić to nie mogło, wkładam na ciebie obowiązek sumiennego i sowitego wynagrodzenia. Pamiętaj, że ci to nakazuje umierający ojciec."

"Drugi list wystosowanym jest do hrabiego Rodrygo de Palma. Przedstawiwszy pokrótce niecny mój postępek, proszę go o darowanie winy i aby w twej osobie zawarł z rodziną Mendozów nierozerwalny węzeł zgody i miłości. Wieść o mojej śmierci rozejdzie się po całym kraju, i on o niej dowiedziawszy się, wróci Mendoza do kraju. Gdyby to jednakże nie dość wcześnie nastąpiło, natenczas będzie twoim obowiązkiem wyśledzić go, oddać mu mój list i prosić o darowanie winy twemu ojcu."

Gdy chory dotąd domówił, musiał zaprzestać, gdyż się uczuł zbytecznie osłabionym, w mdłym jednak wzroku jego widać było wielkie uspokojenie, jakie daje religia czyniącym zadość swym obowiązkom, i ufność w zasługi męki Chrystusa

Pana. Ten też spokój duszy dodawał stojącej obok łoża rodzinie pociechy i siły do stłumienia żalu, który jej serca przenikał.

Trzy razy widział jeszcze chory wschodzące słońce, lecz gdy zachodziło dnia trzeciego, uczuł, że się zbliża godzina rozstania. Pożegnał więc żonę, syna i córkę, i spokojnie zasnął snem śmierci.

Ktokolwiek był świadkiem tak przykładnego zgonu, uczuł się głęboko wzruszonym. W całym Madrycie mówiono o tem cudownem, za szczególną łaską Boga zaszłem odrodzeniu duchowem hrabiego, a kapłan, który go sposobił na drogę wieczności, wzniósł oczy do nieba, wielbiąc miłosierdzie Najwyższego.

"Boże wielkiego miłosierdzia," mówił, "Ty wybrałeś to ziemskie mieszkanie na świątynię Twej wszechmocności i łaski. Tu jawnie pokazałeś tę boską prawdę, żeś wszystkich ludzi powołał do zbawienia! Za to składamy dzięki Twojej ojcowskiej ku nam miłości!"

Strapiona rodzina zamknęła się przez trzy dni w swym domu, aby w skrytości opłakiwać swą stratę. Czwartego dnia od-

prowadzono zwłoki do grobu familijnego, a oddawszy ciało ziemi, w pobożnych modlitwach polecono duszę miłosierdziu boskiemu.

Zaraz po pogrzebie udał się Jan Mendoza ze zlecenia ojca swego do domu inkwizycyi, ażeby oddać list, odwołujący proces przeciw hrabiemu Rodrygo de Palma. Powinność ta była mu miłą, ponieważ cieszył się nadzieją odwołania nieszczęśliwego tułacza z wygnania. Radość jego tem była większą, że nawet okoliczności mu zapowiadały, iż sam rząd krajowy przyjmie mile nowinę o niewinności hrabiego, i już dla własnego interesu przyłoży się dzielnie do wyszukania tułacza. W tym bowiem właśnie czasie rozeszła się wieść o nowem powstaniu w Niederlandach, należących podówczas do Hiszpanii. Rząd więc hiszpański winien był uczynić wyprawę na rokoszan, a w kraju zdatniejszego na dowódzcę wyprawy nad Rodrygo de Palma nie znano, przeto mniemano, że rząd, będąc w potrzebie, szukać go będzie z wielką usilnością i z radością przyjmie. Jak się pokaże, nie była to płonna rachuba.

Zima minęła i nastały piękne dni, zapowiadające piękną wiosnę. Hrabina postanowiła dopiero wśród lata osiąść w letnim swoim zamku, a tymczasem dla rozpędzenia smutku zwiedzić ze swą córką najpiękniejsze okolice Hiszpanii.

Znowu nastało smutne pożegnanie, Jan bowiem nie mógł im towarzyszyć, bo go różne okoliczności zatrzymywały w stolicy—już to przygotowania do mającej nastąpić wyprawy na Niederlandy, już to zabiegi celem załatwienia interesu hrabiego Palmy. Przy pożegnaniu płakała matka, płakała i siostra. Jan jednakże cieszył obie tem religijnem zapewnieniem:

"Bóg z nami," mówił, "a któż stanąć może przeciw nam? Jedźcie z Bogiem, ja zostanę przy powinności; pewny jestem, że się szczęśliwie zobaczymy i tę będziemy mieli pociechę, że się tymczasem znajdzie hrabia de Palma."

Matka z córką więc odjechały, a poczciwy młodzieniec wrócił do swych obowiązków.

VI.

Żałoba w chacie węglarza.

Już dobrze minęła połowa lata, a zamek hrabiny był jeszcze ze wszystkiem opustoszały. Dlaczego to, nikt, nawet rządzca zamku nie wiedział, albowiem mu nie doniesiono, że hrabina z córką wyjechały na wojaż.

Kamillo smutny, że nie ma żadnej wiadomości względem stosunków Mendozów do hrabiego Palmy i jego syna, siedział przed swym domkiem. Było to znowu w wigilią świętego Jakóba; z okolicznych kościołów dzwony zwiastowały jutrzejsze święto patrona krajowego, a Kamillowi przypomniały ów pamiętny dzień, w którym przed dwunastu laty uchodzący z kraju Rodrygo de Palma powierzył syna jego opiece. Dzień jutrzejszy był właśnie dniem wyznaczonym, w którym miał objawić stosunki rodzinne swemu wychowańcowi. Nadejście tego dnia było mu wielce pożądanem, albowiem obowiązek tajemnicy tem więcej mu ciężył na sercu, gdyż czuł się bardzo słabym na siłach i widział się blizkiem śmierci. Nie drżał on przed

śmiercią, gdyż się już dawno z myślą o niej oswoił, a przysposobiwszy się modlitwą i Sakramentami świętymi w pobliskim kościele, był na każde zawołanie gotowym. Trapiła go tylko przyszłość jego wychowańca, jego wyprowadzenie na świat w sfery jemu właściwie, czyli, że tak powiem, brak pewności, jak swe wielkie dzieło ukoronuje. O, jakby go to cieszyło, gdyby nazajutrz oświadczywszy Albertowi, czyim jest synem, oddawszy mu ojcowskie papiery i kosztowności, mógł go przedstawić hrabinie i polecić jako jedynego przedstawiciela rodziny i dziedzica majątków hrabiego de Palma!

Lecz ta jeszcze nie przyjechała na zamek.

Takie myśli niepokoiły starca. Młodzieniec czytał te myśli w jego twarzy i okiem załzawionem spoglądał na mistrza.

"Ojcze," rzekł, "widzę, że ci boleść jakaś dolega. Sam przecież mówiłeś, że powierzenie zmartwienia komuś przynosi sercu ulgę. Czysz nie sądzisz mnie jeszcze dość dojrzałym, abym pomógł ci dźwigać ciężar twego zmartwienia?"

"Owszem, mój Alberto," odrzekł starzec, "właśnie tu o ciebie chodzi. Przeczucie powiada mi, że nie długo będę już ci przewodniczył, lecz ta okoliczność niech cię zbytecznie nie martwi. Wszechmocny i dobrotliwy Ojciec, który nas dotąd łaskawie utrzymywał, który z naszej chatki uczynił szkołę Wiary świętej i jej obyczajów, bo w niej z Jego pomocą nauczyłem cię, jak mu służyć powinieneś, Ten ciebie i nadal nie opuści, owszem łaskawą swą ręką doprowadzi cię do celu, który ci przeznaczył. Nigdy nie przypuszczaj sobie do głowy, jakobyś kiedy stał samotny i opuszczony na tej ziemi, bo masz Boga, który ci jest ojcem. Bóg się tobą opiekuje, a ta ufność niech ci zawsze towarzyszy, i ów promień Wiary świętej niech osusza łzy twoje."

Po tych słowach drżącą prawicą przycisnął młodzieńca w milczeniu do swego serca, jak gdyby chciał wszystkie błogosławieństwa zlać na niego. Po chwili milczenia począł znowu mówić, a twarz jego poczęła nabierać coraz żywszego wyrazu błogiej nadziei.

"Zbliża się," mówił, "drogi wychowań-

cze, dla ciebie chwila, kiedy ci powinienem wyjawić twe pochodzenie i powiedzieć ci, dlaczego trzeba było życie twoje prowadzić dotychczasowemi ciernistemi drogami. Jutro obchodzić będziemy uroczystość świętego Jakóba. Jest to dzień końca mego ślubu, na mocy którego ojciec twój zobowiązał mnie do milczenia. Ranne godziny dnia jutrzejszego poświęcę odkryciu wielkiej ciebie dotyczącej tajemnicy. Ach! z jakiem, upragnieniem oczekiwałem powrotu hrabiny, bo z jej ust spodziewałem się otrzymać wiadomość o pojednaniu się familii Mendozów z twoją, nad czem ta szlachetna pani pracuje. Jednakże już dawno minął czas, kiedy zwykle ze stolicy powracała na zamek, a tam jeszcze ponuro i pusto. Któż wie, jakie smutne zajścia trzymają ją w oddaleniu!"

Przenikający tajemnicę Alberto uczuł wielkie wzruszenie, zaczął rzewnie płakać, a wzniósłszy oczy ku niebu, szepnął zcicha: "o mój ojcze!"

Kamillo przerwał jego rozczulenie.

"Uspokój się, mój dobry Alberto," rzekł, "czas nam udać się na spoczynek. Jutro zaś, jak mi nakazuje ślub w przyja-

cielskie ręce twego ojca złożony, otworzę ci pismo jego ręką skreślone i oddam ci należące się klejnoty, bo dziś jeszcze mnie ślub wiąże. Jeżeli nie będziesz mógł dziś zasnąć, to gotuj się wobec Boga na odsłonienie tajemnicy i przyjęcie bardzo ważnych, bo na dalsze życie twoje wielki wpływ wywrzeć zdolnych wiadomości."

Po tych słowach weszli do chatki, i poleciwszy się w gorącej modlitwie Bogu, udali się na spoczynek. Kamillo zasnął natychmiast, ale Alberto, przepełniony rozmaitemi uczuciami; to radości i tęsknoty, to boleści z obawy, które naprzemian wyobraźnią jego drażniły, ani myśleć nie mógł o zaśnieniu. Dopiero nad rankiem sen zamknął mu powieki.

Przebudziwszy się rano, spojrzał najprzód na posłanie mistrza.

"Cóż to znaczy?" rzekł sam do siebie, "starzec jeszcze śpi?... Wczoraj siedzieliśmy nadzwyczaj długo, a kłopotliwe wspomnienia znużyły jego osłabionego ducha, więc też dłużej niż zwyczajnie wypoczywa."

Tymczasem powstawszy, ubrał się, a że już słońce wzbiło się po nad wierzchołki

dębów, więc pchany ciekawością dowiedzenia się tajemnicy, zbliżył się do posłania, by mistrza zbudzić.

Ale jakże się okropnie przeląkł, gdy ujrzał twarz mistrza zupełnie wybladłą, oczy na pół otwarte, a usta jak gdyby uśmiechające się, lecz zsiniałe. Słucha... mistrz nie oddycha, twarz zimna, serce nie bije, puls ustał...

"Wielki Boże!" wykrzyknął, "mistrz mój nie żyje!"

Z tym bolesnym okrzykiem padł na ziemię. Okropne to odkrycie tak go przeraziło, iż całą godzinę leżał jak bez zmysłów. Po godzinie przyszedł wreszcie do przytomności, lecz boleść skrępowała jego ducha. Ponury, smutny, zbliżył się jeszcze raz do łoża, aby się dokładnie przekonać, czy się czasem nie myli.

"Więc opuściłeś mnie, mój stary przyjacielu!" zaczął wyrzekać prawie w obłąkaniu, "opuściłeś i zostawiłeś mnie samego na tej ziemi... I to właśnie w tym dniu, w którym mi miałeś wskazać mego ojca, moją rodzinę, mój stan!... Pozostawiłeś mnie sierotą bez opieki, młodzieńca bez doradzcy i przewodnika, człowieka bez imienia!...

O, Boże wszechmogący, wskrześ go chociaż na chwilę, żeby wyrzekł nazwisko moje... żeby wskazał, gdzie złożył dowody!... Ale nie, on wziął ze sobą na tamten świat tajemnicę, która już dla mnie całkiem straconą!"

Zamilkł i zamyślony wpatrywał się w twarz boleśnie uśmiechającego się Kamilla. Po chwili milczenia, stojąc ze złożonemi rękoma, zaczął mówić sam do siebie:

"Alberto, cóż ci mówią te rysy twarzy zmarłego mistrza? Nie byłyż one właśnie takie same, kiedy cię napominał? O zaiste! gdyby mógł mówić, rzekłby: "o ty niebaczny młodzieńcze, czegoż szemrzesz przeciw Opatrzności Boga? Czy takiego owocu mógłem się spodziewać z wpajanyah w ciebie nauk? Powstydź się, iż ośmieliłeś się sarkać przeciw najmędrszym rozporządzeniom Boga! Tak zwykli czynić poganie, nie mający o Bogu należytego wyobrażenia. Ale ty nosisz na czole piętno niezmazalne wybranych Chrystusa: krzyż święty, jako pieczęć chrześcijańskiej cierpliwości!" Takby mnie niezawodnie naganiał mój nauczyciel, a ja winienem mu posłuszeń-

stwo. Oto kładę ręką na jego ojcowskie serce, a duch jego niech słyszy odnowienie przyrzeczenia, że mu będą posłusznym... Żyjże więc szczęśliwy w przybytkach Najwyższego, drogi mój ojcze, i pamiętaj o twym wychowańcu przed Bogiem!"

Po tych słowach łzy rzuciły mu się z oczu, a te ulżyły zbolałemu sercu. Płakał dzień cały i noc następującą, a nazajutrz wyszedł z chatki i pod skalistą ścianą wśród kwiecistego ogródka zajął się wykopaniem grobu. Zanim słońce zaszło, złożył z pomocą sąsiadów drogie zwłoki na spoczynek aż do zmartwychwstania, naznaczywszy je wystruganym z drzewa krzyżem.

Oddawszy w ten sposób ostatnią przysługę zmarłemu nauczycielowi, przetrwał znaczną część wieczora na modlitwie, błagając Boga o siłę do zniesienia mężnie tego ciosu, oraz o oświecenie, jak sobie ma postąpić dalej. Po długiej modlitwie, zasnął, a już na drugi dzień pokazała się skuteczność jego gorących modłów, bo serce miał mniej ściśnione, a umysł daleko przytomniejszy. Począł więc myśleć o przyszłości. Teraz stanęły mu na myśli

pisma i klejnoty, wzmiankowane przez Kamilla, o czem dotąd dla wielkiego żalu nie pomyślał. Rozpoczął przeto poszukiwania; przetrząsnął każdy kącik domu, przejrzał każde wypróchniałe drzewo, każdą kryjówkę.

Ale to wszystko napróżno. Sądził więc, że Kamillo tak ważne rzeczy ukrył gdzie w bezpieczne miejsce daleko od chaty. Martwiło go to nie mało, jednakże ze spokojem oddał się pod rozporządzenia boskie, myślał sobie bowiem, że gdyby znalezienie tych przedmiotów było potrzebne do jego uszczęśliwienia, to Bóg pełen dobroci podałby mu sposobność do ich odszukania, ale że mądrość Najwyższego ukrywa je przed nim, więc musi mieć słuszną do tego przyczynę.

Po pogrzebie zajął się zwykłą swą pracą, żeby tym sposobem odpędzić od siebie czarne myśli, a co mu czasu zbywało, przepędzał przy grobie Kamilla.

VII.

Ostatnia wola.

W kilka dni po uroczystości świętego Jakóba zjechała hrabina Mendoza wraz z

córką na zamek. Alonzo przywitał swe panie z radością.

"Stary węglarz z doliny bezwątpienia bardzo się ucieszy z powrotu pań," rzekł, "bo jak tylko nadeszła pora, w której panie zwykle przyjeżdżały na letni pobyt na zamku, widywałem go często przed mostem, śledzącego ciekawie, czy panie nie przybyły, i dopytującego się, coby było powodem opóźnienia. Sam nic nie wiedząc, nie mógłem zaspokoić jego ciekawości. Z widocznym natenczas żalem odchodził do swego domu, a wracając, z oczywistą tęsknotą oglądał się na zamek."

"Domyślam się, co go tłoczy," rzekła na to hrabina; "spodziewam się, że będzie zadowolonym, skoro mu zdam sprawę z rzeczy. tyczącej się hrabiego de Palma, która go bardzo obchodzi."

Blanka tymczasem przystąpiła do zarządcy i pocichu zapytała, czy i jego wychowaniec z nim także przychodził, a gdy usłyszała odpowiedź potwierdzającą, a nawet w dodatku, że się o nią dopytywał, poskoczyła do hrabiny z prośbą, aby jaknajprędzej sercu starca ulżyła.

"Matko!" zawołała, "jeźli pozwolisz,

wyprawię jutro posłańca, aby powiadomił starca o naszym przybyciu."

Gdy matka dała swe zezwolenie, Blanka, nie czekając jutra, wysłała gońca natychmiast.

Nazajutrz napawały się hrabina i córka w ogrodzie świeżem powietrzem. Blanka co chwilę rzucała okiem w stronę, gdzie mieszkał węglarz.

Nagle zawołała:

"Matko, oto Alberto idzie, ale wolno i tak smutny!.. Nie, pewnie się mylę, bo on nie zwykł wychodzić bez swego mistrza!"

Pobiegły więc ku bramie ogrodu i w samej rzeczy zastały tam stojącego młodzieńca, który, skłoniwszy się nizko, rzewnie zapłakał.

"Przychodzę, szlachetne panie," rzekł wśród łez, "oddać wam może już ostatnie pożegnanie!"

Hrabina i Blanka, przerażone, zawołały równocześnie:.

"Cóż to znaczy? Gdzież jest dobry nasz Kamillo?"

"Ach! mój dobry mistrz już nie żyje!" zaszlochał.

Łzy nie pozwoliły mu mówić dalej.

Polish National Union of Canada

Panie, szanując słuszną jego boleść, milczały, Blanka zaś rzewnie zapłakała nad osierociałym.

Po chwili milczenia rzekła hrabina z boleścią:

"Biedny Kamillo! nie doczekałeś pomyślnej wiadomości, którą ci udzielić miałam, a której ty z takiem utęsknieniem oczekiwałeś!" Zwracając się zaś do młodzieńca, zapytała: "Cóż teraz zamyślasz robić?"

"Do wypalania węgli," odrzekł, "nie jestem zdatnym. Wszystko mnie z doliny wypędza, a moja rzeźkość i odwaga ciągną mnie do poszukania sobie zajęcia przy wojsku. Słyszałem, że wojsko narodowe wychodzi do Niederlandów, sądzę przeto, że w niem znajdę umieszczenie. Bo cóż mi zresztą pozostaje? Znajdę tam albo wczesny grób... i na tem zyskam, bo prędzej się połącze z moim mistrzem; albo przy boskiej pomocy jako mężny żołnierz dobiję się sławy. Jutro, skoro zorza wschód zarumieni, już będzie Alberto na drodze do Madrytu."

"Tak spiesznie?" zawołała hrabina, Blanka zaś odwróciła się, aby ukryć, że pobladła.

"Na cóż zwłóczyć?" odrzekł Alberto, "im dłużej w dolinie mego wychowania bawię, tem więcej zaogniają się rany mego serca. Pod bronią i przy jej szczęku zapomnę może o tem, co mnie pod stuletnimi dębami wiążało... Bądźcie panie zdrowe!"

Spojrzawszy na hrabinę, dostrzegł łzy w jej oczach. Ośmielony jej współczuciem, rzekł:

"Jednę jeszcze mam prośbę do ciebie, dostojna pani. Nie daleko chatki, w ogródku, spoczywają zwłoki Kamilla. Naznaczyłem mogiłę krzyżem i przyozdobiłem ją krzakami rozmarynu i fiołków. Ale drzewo spróchnieje, a zioła powiędną, jeżeli nie będzie kogo takiego, któryby ich doglądał. Proszę przeto, abyś pani w mej ubożuchnej chatce zechciała osadzić jakiego poczciwego człowieka, umiejącego cenić me uczucia do mojego mistrza, i któryby pielęgnował jego mogiłę. W nagrodę za to niech weźmie moją chatę i ogródek. Jeźli wrócę z wojny, zroszę łzami to, co mi na tym świeci jest najdroższem!... Lecz pocóż przewłóczę boleść pożegnania? Wszakże idę z Bogiem, opatrzony należycie zasadami Wiary świętej!... Życzę wam pomyślności,

dostojne panie! A gdybym nie miał tego szczęścia widzieć was jeszcze na ziemi, to zobaczymy się tam oto, gdzie nie ma żadnego rozłączenia!"

Po tych słowach, wskazawszy na niebo, pochwycił zawiniątko i z nizkim ukłonem znikł z oczu zadziwionej hrabiny i płączącej Blanki.

Chciał się zaraz udać na drogę wiodącą do stolicy, ale jeszcze zatęsknił za grobem Kamila. Tu przepędził noc całą na modlitwie, łzach i odezwach do swego mistrza.

Gdy zorza zarumieniła niebo, wpadło mu na myśl, że nie ma nazwiska familijnego, bo jego nazwisko spoczywa w grobie utajone w sercu zmarłego. Przecież wypadało przyjąć jakie nazwisko. Spojrzawszy na kwiaty, mogiły zdobiące, rzekł do siebie:

"Ha! nazwiesz się Alberto Flores, co znaczy kwiat."

Łzy jeszcze raz zrosiły jego lica, poczem oderwał się prawie gwałtem od mogiły, przeżegnał się, polecił Bogu i spiesznie puścił się w drogę.

VIII.

Pustelnik w Pyreneach.

Pod ten czas właśnie stała w górach pyrenejskich, kilka set kroków od kamienistego gościńca prowadzącego z Barcelony do Perpignan, uboga chatka mająca za ściany rozpadliny skał, pokryte mchem i gałęziami. Możnaby ją było raczej uważać za przytułek jakiego zwierzęcia, aniżeli za mieszkanie ludzkie, ale stojący przed nią krzyż dębowy wskazywał przechodniom, że tu mieszka jakiś człowiek, który, uczyniwszy rozbrat ze zwodniczym i złośliwym światem, znalazł więcej spokoju i pewności cnoty w zaciszu, aniżeli wśród zepsucia ludzkiego. Może ta chatka jest też mieszkaniem jakiego pustelnika, który, trapiąc swe ciało niedostatkiem, we łzach i modłach pokutuje za grzechy, których się w swem życiu lekkomyślnie dopuścił.

Było to pięknego dnia letniego. Podczas kiedy w nizinach promienie słoneczne igrały z liściem roślin, na górach zimny wiatr i posępny pomrok panował, gdyż światło dzienne zasłonił wierzchołek nie-

botycznej góry Maladetta, i cień jej przejął mrozem okolicę.

Ze wspomnianej chatki wyszedł mąż wysoki wzrostem, w ubiorze ciemnym pustelniczym. Połowę twarzy zasłaniała mu wielka broda, lice miał wybladłe, oczy zaczerwienione od płaczu, a czoło przeorane dwiema głębokiemi zmarszczkami. Zresztą w tej postaci dostrzedz było można wielkość ducha, której pokonać nie zdołały okropne jakieś cierpienia.

Mąż ten upadł pod krzyżem na kolana i długo się modlił ze łzami, wreszcie w największem uniesieniu objąwszy rękami podstawę krzyża, zaczął śpiewać zapewne zwyczajny sobie psalm dziewięćdziesiąty: "Kto się w opiekę."

Skończywszy pieśń,wzniósł swe oczy ku niebu.

"Boże wielki!" zawołał' "który miliony stworzeń Twoich utrzymujesz i pokrzepiasz, kiedyż zechcesz łaskawie wpuścić do tej jaskini promień pociechy i pocieszyć strapione serce?... Lecz Ty najlepiej znasz czas i chwilę, kiedy upadłych podźwignąć należy! Twoja wola najmędrsza

i najświętsza, o! dopomóż łaskawie, abym jej ulegał."

Po tej modlitwie powstał i siadł na mchem obrosłej skale, zwrócony twarzą ku stronie południowo-zachodniej. Myśl jego uleciała aż nad rzekę Tajo, do miasta Toledo.

"Tam," mówił do siebie z cicha, "tam na cmentarzu pod cyprysami spoczywa jutrzenka mego szczęścia domowego... Ale gdzie jest obecnie skarb mej miłości ojcowskiej, tego nie wiem. Czyż mógł bym się spodziewać, że jeszcze pozostaje w murach Salamanki?... Czternaście lat tułam się jako wygnaniec w górach i wąwozach, nie mogąc sie pokazać czatującym na mnie nieprzyjaciołom... Nie mogąc pohamować rodzicielskiego uczucia, wpadłem raz tajemnie od Salamanki, aby widzieć syna. Ale wrogi moje tuż mnie wytropili, byłbym niezawodnie padł ofiarą rodzicielskiej troskliwości. Odtąd nie można się było wychylić z kryjówek, bo główny mój nieprzyjaciel żyje w wielkiem znaczeniu na dworze królewskim. Ujść jego nienawiści niepodobna!... Nędzne jest moje życie. Och! kiedyż skończą się moje udręcze-

nia? Boże łaskawy! wpuść w moje serce kropelkę gojącego balsamu nadziei w Twojej dobroci!"

Skończywszy mówić, dobył z kieszeni kawałek suchego chleba i suszoną figę. Pewnie to był ostatni zapas jego pokarmu, bo z wielką boleścią serca oglądał ten posiłek. Pustelnika bowiem zaopatrywali w żywność kupcy, przewożący koło jego domu wina hiszpańskie i płody górnicze do Perpignan. Ci więc odwiedzali go, bowiem znali go zdawna jako pobożnego człowieka.

Tym razem już trzeci dzień nad czas zwyczajny przejazdu kupców mijał, a nikt się nie pokazał, zapas więc żywności całkiem się wyczerpał, a kawałek chleba, który pustelnik trzymał w swem ręku, był rzeczywiście ostatnim kęsem jego żywności. Cóż począć bez pożywienia? Góry, prócz korzonków, nic pożywnego nie wydawały; zejść znowu z góry w niziny niebezpiecznie, bo trzeba się było obawiać szpiegów. Pustelnik zaś wolałby raczej umrzeć z głodu, aniżeli dostać się w ręce inkwizycyi.

Takie to kłopoty dręczyły starca. Lecz Bóg nie zapomniał o nieszczęśliwym. Wła-

śnie bowiem, gdy niedola dochodziła do najwyższego stopnia, gdy przemysłem ludzkim nie umiał sobie poradzić, w tej chwili Bóg mu dał dowody ojcowskiej pieczołowitości. Oto od podstawy gór słychać jakiś szmer, dalej tętent kopyt, i już można zrozumieć głos poganiającego muły. Kupcy stawają przed chatą,dając wypoczynek sobie i bydłu. Starzec pocieszony wychodzi ze swego mieszkania i zaprasza do siebie.

"Skały. zasłonią was przed zimnem," mówi "i spokojnie spoczniecie, owinięci w płaszcze, a muły znajdą dosyć żyznej trawy na pożywienie."

Podróżni chętnie zaproszenie przyjęli, weszli do skalistego zacisza i posiadali około kamienia za stół służącego. Pustelnik z danych sobie zapasów sporządził wieczerzę. Gdy ją spólnie pożywali, dobył naczelnik karawany kilka butelek malagi i pokrzepił nią tak starca jak i towarzyszów. Wszczęła się tedy poufna gawęda. Pustelnik dopytywał się potem o rozmaite nowiny z kraju, aż wreszcie odważył się zapytać o powodzenie hrabiego de Mendoza i co ludzie sądzą o hrabim de Palma.

Na to odezwał się żywo naczelnik karawany:

"A to pamięć!" zawołał, "wiedząc, że, ojcze, lubisz nowiny, wziąłem umyślnie to oto ogłoszenie, przecież gdybyś sam się nie dopytywał, byłbym w żywy kamień zapomniał. Czytaj! Hrabia de Mendoza umarł przed półrokiem, o tem pewnie ojcze już wiecie, ale pewnie tego nie wiecie, że na łożu śmiertelnem odwołał denuncyacyę przeciw hrabiemu de Palma, a inkwizycya uznała go niewinnym; że wojna przeciw Niederlandom blizka, dla tego rząd wszędzie za hrabim Palmą szuka, aby mu powierzyć dowództwo nad wyprawą. Prawdę powiedziawszy, niema też dzielniejszego wodza... Otóż tu odezwa rządu hiszpańskiego, którą wszędzie rozpowszechniają; i ja wiozę ze sobą kilka egzemplarzy tej odezwy, aby rozszerzeniem jej za granicą przysłużyć się ojczyźnie. Bierzcie ojcze pismo i czytajcie."

Pustelnik drżącą ręką wziął pismo i odczytał co następuje.

"Król i naród hiszpański zasyłają hrabiemu Rodrygo de Palma pozdrowienie i uwiadomiają go, że naj-

wyższy trybunał w Madrycie uznał jego niewinność i wraca mu w następstwie wszystkie jego dobra i majątki. Gdziebykolwiek się znajdował, wzywamy go usilnie, aby jaknajspieszniej wracał do swego pułku, stojącego w Toledo, w celu objęcia dowództwa w wyprawie przeciw zbuntowanym Niderlandom. Pewni jesteśmy, że w dawnem męztwie i zdatnościach umysłowych, któremi zaszczytnie służył swej ojczyźnie, znajdzie pohop do dania królowi i narodowi dowodu, iż umie cenić zaufanie, jakiem go zaszczycamy."

Takiej treści była odezwa. Pustelnik, przeczytawszy ją, powstał, a przystąpiwszy do krzyża, modlił się długo w milczeniu. Podróżni ze zdziwieniem patrzeli na to, nie umiejąc sobie wytłumaczyć tego postępowania.

Nazajutrz, gdy karawana zabierała się w dalszą podróż, stanął pustelnik przed podróżnymi w mundurze wojskowym z gwiazdą na piersiach.

"Hiszpanie!" rzekł, "oto widzicie w mej osobie niesprawiedliwie prześladowa-

nego hrabiego Rodrygo de Palma, uszczęśliwionego przez was przywiezioną nowiną i natychmiast idącego za wezwaniem ojczyzny!"

Niepodobna opisać zdziwienia, jakie wywarło w karawanie to odkrycie. Jedni padli mu do nóg, usprawiedliwiając swą poufałość nieświadomością, inni cieszyli się i dziękowali Bogu, iż raczył skończyć cierpienia niewinne prześladowanego i oddać ojczyźnie w naglącej potrzebie dzielnego męża.

Hrabia zaspokoił ich tą uwagą, że zasłużyli na wielką jego wdzięczność, gdyż byli właściwie jego żywicielami, i że bez ich ludzkości byłby nierównie biedniejsze pędzić musiał życie.

"Wyświadcie mi jeszcze jedno dobrodziejstwo," dodał, "pożyczcie mi jednego z waszych mułów, ażebym mógł spiesznie stanąć tam, gdzie mnie obowiązki wołają. Jestem królowi winien posłuszeństwo, i tem chętniej mu ulegam, że wykazała się moja niewinność. Muła odeślę wam z Toledo i z wdzięcznością wynagrodzę, coście uczynili dla mnie w mem tułactwie."

Zaledwie hrabia prośbę wyrzekł, a już

też była spełnioną: dostawiono mu muła przybranego wygodnie do podróży. Hrabia siadł na muła. Jeden z kupców, świadom ścieżek pomiędzy skałami, sprowadził go w niziny, a poleciwszy Bogu, wrócił do swoich.

Chętnie byłby hrabia zboczył do Salamanki. Nie wiedząc, że syn jego stał się tułaczem, i że przyjaciel pożegnał się z tym światem, był tego mniemania, że obaj żyją swobodnie w Salamance. Radby więc miał przy sobie syna, pewny, że młodzieniec jest już zdatny do ćwiczenia się przy jego boku w robieniu bronią, do czego się właśnie sposobność nadarza.

Ale posłuszeństwo dla króla i ojczyzny gnało go do Toledo, jako do miejsca swych powinności. Z Toledo, mówił sobie, możesz wezwać Fernanda d'Arjas ze synem do siebie. Pocieszał się zaś i krzepił nadzieję, że gdy Bóg raczył rozpędzić nad jego głową zawisłe czarne chmury, zechce też dokończyć w zupełności dzieła miłosierdzia swego.

Takiemi myślami zajęty przybył na płaszczyzny Aragonii, a stanąwszy w Saragosie, zawiadomił dwór madrycki umy-

ślnym posłańcem, że jest w drodze do Toledo, że z wdzięcznością przyjmuje włożone nań obowiązki i że dołoży starania, aby usprawiedliwić położone w nim zaufanie.

Ludność, uwiadomiona o przyjeździe hrabiego, gromadziła się na powitanie, gdyż jak nad stratą tego szanownego męża Hiszpanie ubolewali, tak teraz powrót jego napełniał ich serca radością.

IX.

Sprzysiężenie.

W mieście Toledo oznajmiły zegary dwunastą godzinę północną. Światła, któremi miasto z powodu wjazdu hrabiego Rodrygo de Palma rzęsiście było oświetlone, już pogasły. Wszystko się uciszyło, tylko nocne, światła nie lubiące ptaki i podobni im ludzie, rozpoczynali tajemne swe zatrudnienia.

W pustej, od zabudowań odosobnionej szynkowni siedział ponury i zasępiony dawny sługa hrabiego Palma, Cezaryo. Ustawicznie wtrząsał głową, tedy owedy machnął pięścią, jak gdyby powrót da-

wnego pana więcej go trapił, aniżeli cieszył.

Po krótkim przeciągu czasu przyszło do niego cichaczem kilku w obszerne płaszcze owiniętych mężczyzn, którzy, wyrzekłszy stłumionym głosom umówione hasło, dali się poznać jako wspólnicy zbrodni.

Bambino, naczelnik zbrodniczej bandy, rozpoczął rzecz w te słowa:

"Uważałeś, Cezaryo, jak ten ciemny motłoch witał hrabiego? Mnie ledwie żółć na ten widok nie pękła! Ale bo też ty mogłeś go był na zawsze usunąć i majątek jego nam przekazać. Ty zaś zacząłeś coś, aleś nie przeprowadził do końca. Lichy z ciebie towarzysz!

"Ale wstrzymajże twą popędliwość, Bambino!" rzekł na to drugi bandyta, imieniem Łazaryo. "Co się zepsuło, trzeba naprawić! Starego nie fukaj, bo on jest nam potrzebnym. Wiesz, jak słabą ma głowę! fukaniem do reszty rozum mu popsujesz, a wtedy nic nam nie pomoże."

"Co?" przerwał trzeci, Kassio,"naczelnik ma słuszność. Cezaryo zalewa pałkę, a wtenczas sam nie wie co robi. I naon-

czas miał za wiele pod czupryną, gdy nasadził Mendozę, aby Palmę oddał inkwizycyi. To nie było według umowy, bo on miał Palmę zgładzić i zabrać skarby. Teraz Mendozy niema, Palmę z potrzeby wynaleźli i wielbią, a nam wyśliznął się naraz smaczny kąsek."

"Wyśliznął albo nie wyśliznął," odezwał się czwarty, Barbastro, "tu nie trzeba lamentować i swarzyć się, ale działać. Zapomnieliśmy, że nas Palma za marne sto dublonów, któreśmy zwędzili, haniebnie z pułku swego wyrzucił? Już was snadź nie bolą stłuczone kijmi kości, ale u mnie jest to wszystko w świeżej pamięci. Jeszcze mi brzmią w uszach słowa, które wyrzekł hrabia, gdy rozkazał, aby nas kat wyprowadził z miasta! 'Żołnierzy życzę sobie, a nie bandytów!' były jego słowa... Trzeba się pomścić, takie jest moje zdanie."

"Tak, nie inaczej," zawołał naczelnik, "trzeba się pomścić... A ty, Cezaryo, staraj się, abyś się dostał napowrót w służbę do Palmy. Słyszysz?...czegoś tak pokwaśniał? Jeżeli ci język usechł, to go popłócz; oto twoja i nasza pocieszycielka!"

Gdy Cezaryo z podanego gąsiorka raz i drugi dobrze łyknął stał się weselszym.

"A widzicie!" rzekł, "bezemnie nic nie zdołacie, ja bowiem jestem głównym działaczem! Będę się więc starał wstąpić napowrót w służbę do Palmy, pomogę do zagrabienia majątku, lecz... na zabójstwo nie przystaję!"

"Nie, nie!" zawołoli wszyscy, "ty zostaniesz jak kryształ czystym, bo my się już sami z nim rozprawimy!"

Szatańska ta banda wypróżniła gąsiorek, a potem każdy poszedł cichaczem w swą stronę.

Nazajutrz ledwo ranna zorze zarumieniła wschodnią część nieba, kiedy Cezaryo stanął na cmentarzu pod cyprysami przy grobie hrabiny, będąc pewnym, że hrabia zrana, zanim się odda obowiązkom urzędu, przybędzie w to miejsce, aby przy mogile wylać swe smutne uczucia.

Jakoż nie długo czekał, gdy hrabia nadszedł i znalazł swego dawnego sługę w głębokim smutku pogrążonego, wynurzającego swe żale cieniom zmarłej i narzekającego na nędzne swe położenie.

Oczywista, że z przyrodzenia dobro-

dusznego, a przez ostre doświadczenia więcej do litości skłonnego hrabiego, postępek taki starego sługi mocno zobowiązał. Przyjął go więc w służbę, a Cezaryo przez przymilenia i skrzętność w usłudze już w kilku dniach tak pozyskał dawne zaufanie, że hrabia za wierne usługi zapewnił mu dozgonne utrzymanie.

Tak więc, nie wiedząc o tem,zatrzymał przy swym boku jadowitą żmiję; ale że to uczynił w myśli chrześcijańskiej, Bóg w potrzebie dopomógł, że mu szkodzić nie mogła.

Tymczasem hrabia każdej godziny wyglądał syna, albo odpowiedzi na list wysłany do Salamanki. Ale dotąd napróżno. Już ustanowiono dzień, w którym miał z wojskiem opuścić Toledo, a jeszcze ani syn nie przybył, ani odpowiedzi nie odebrał. Smutny i pełen obawy, polecił Cezaryowi, ażeby w jego nieobecności wszelkich użył środków w celu wyśledzenia syna z jego nauczycielem.

"Cezaryo!" mówił, "po moim odjeździe udasz się osobiście do Salamanki i zasięgniesz potrzebnych wiadomości. Jeźlibyś nie znalazł syna, to przynajmniej się do-

wiesz dokąd się ztamtąd udał, i według powziętej wskazówki przedsięweźmiesz dalsze kroki. Załatw sprawę dobrze, a za twoją wierność będziesz miał u mnie utrzymanie do śmierci."

Wszystko już też było do pochodu przygotowane, a dzień jutrzejszy wyznaczony do wyruszenia wojsk na Niderlandy.

Cezaryo skłonił się pokornie i wyszedł z komnaty właśnie gdy hrabia udawał się na spoczynek. Zwróciwszy się do tylnych drzwi, wyszedł potajemnie z pałacu, żeby się widzieć z towarzyszami, zapewne zapijającymi w wiadomej szynkowni.

Było to około północy. Burza z grzmotem i błyskawicami przerażała wszelkie żywe stworzenia, deszcz ulewny padał bez ustanku, a wicher szalony ryczał i łamał niebotyczne drzewa. Wśród takiej walki żywiołów, w lesie przy Toledo jakiś błąkał się podróżny, szukając drożyny, którąby trafił do miasta, które za dnia już widział.

Po niejakim czasie burza przeszła, deszcz ustał, a Alberto — gdyż on to był, —dojrzał w odległości połysk lampy. Poszedł więc w kierunku tego światła, w mniemaniu, że znajdzie pomieszkanie lu-

dzkie i jakąś wygodę. Była to jednakże kaplica. Zegar na niej wybił właśnie pierwszą godzinę, gdy Alberto stanął przed drzwiami. Otworzył je, wszedł, złożył w kącie zawiniątko, sam zaś przystąpił do ołtarza, ukląkł i szczerze się pomodlił. Potem powrócił do zawiniątka i w ukryciu po za ławkami położył się na spoczynek.

Może po godzinie smacznego snu przebudziło Alberta skrzypnięcie drzwi. Uniosłszy głowę, spostrzegł człowieka w płaszcz owiniętego, który postąpił naprzód na środek kaplicy, obejrzał się po niej, a potem wyszedłszy, zagwizdnął.

Alberto domyślał się jakiejś napaści, ale ufając Bogu i swej sile, przygotował swój kij sękaty, którym nie jednego już uśpił wilka, a zresztą zachował się spokojnie.

Niedługo potem skrzypnęły drzwi powtórnie i weszło pieciu zamaskowanych bandytów, którzy ukryli się za ołtarzem. Z rozmowy, jaką ci ludzie prowadzili, wyrozumiał Alberto, że zamierzają hrabiego Palmę, tu na modlitwę przyjść mającego, zabić i złupić.

To wystarczyło mu wiedzieć, aby stanął w obronie zagrożonego. Cichuteńko po-

wstał ze swego miejsca, wziął kij do ręki i na klęczkach po za ławkami przyczołgał się do ołtarza, gdzie się domyślał napadu.

Właśnie na zegarze uderzyła trzecia, gdy się drzwi kaplicy otworzyły i wszedł mężczyzna krokiem poważym, a przystąpiwszy do ołtarza, ukląkł na stopniach i kilka minut pozostał milczący w rozmyślaniu, jak gdyby zbierał uwagę i sposobił umysł do modlitwy. Potem zaczął się modlić głośno.

"Boże miłości, zgody i pokoju," wyrzekł, "raczyłeś mi powierzyć wyprawę wojenną przdciw rokoszanom, może przez złe obejście się z nimi poburzonym... o! niech zdołam bez rozlowu krwi uspokoić podrażnione umysły! niech mam dostatecznie roztropności i powagi, abym zdołał wojsko w przyzwoitej utrzymać karności. Twojej ojcowskiej opiece poruczam siebie i wszystkich mi powierzonych. Prowadź nas, rządź nami, ażebyśmy wolę Twoją spełnili. Amen!"

Ukorzył się po tych słowach przed Nawyższym, całując stopnie ołtarza, poczem wstał i chciał postąpić ku drzwiom, gdy nagle z po za ołtarza wyskoczyło pię-

ciu bandytów i otoczyło go w koło. Ten napad zmięszał hrabiego w pierszym momencie, lecz wnet zebrał przytomność umysłu i stanął odważnie.

"Hrabio Palma!" zawołał naczelnik z udaną grzecznością, "jesteśmy szlachta z Toledo, prosimy więc o wsparcie, a mianowicie ten oto towarzysz łysy nie ma nakrycia na głowę, prosi zatem waszmości o pożyczynie mu waszego biretu!"

"Moja głowa," odrzekł drwiąc hrabia, "pewno nierównie starsza od głowy waszego towarzysza, nie może też tak bez wszystkiego być wystawioną na obecne chłodne powietrze, zatem nie mogę wam służyć moim biretem. Jednakże, moi szanowni Toledańczycy, jeżeli macie jakie życzenia, to przyjdźcie do mnie za dnia. Tam, jeźli jesteście biedni a uczciwi, dostaniecie worek złota, jeźli łotry,czeka was szubienica!... w każdym razie koniec biedy!"

Na te słowa dobył bandyta puginału i zmierzył w piersi hrabiego. Ten zaś dobywszy worek ze złotem, rzucił bandytom, mówiąc: "oto macie, kiedyście hultaje!... A teraz ruszajcie natychmiast, jeźli chcecie ujść rąk surowej sprawiedliwości!"

"Dobreć i dublony," rzekł bandyta, "ale nam się też chce tej tam kosztownej agrafy, która zdobi biret waszmość."

"Ną honor rycerski!" zawołał hrabia, już jasno widzę z kim mam do czynienia. Lecz wiedzcie, że Palma umie bronią władać, i woli raczej krew przelać, niż dozwolić, żeby go zbrodnicza skrzywdziła ręka."

Po tych słowach dobył szabli i stanął w obronnej postawie przeciwko pięciu bandytom.

Gdy ci nań uderzyli, podniósł się z za ławek z kijem Alberto.

"Śmiało, panie hrabio," zawołał donośnym głosem, "ja jestem chłopak uczciwy a silny, staje wam do pomocy. Choć ich tu pięciu, to my już ich przetrzepiemy!"

Bandyci przelękli się nagłem zjawieniem się zapaśnika, wstrzymali się na chwilę w zapędzie, lecz wnet herszt wymierza w Alberta puginałem. Albert jednakże tak silnie uderzył go kijem we wzniesioną rękę, że mu ją zgruchotał, a puginał upadł na ziemię. Gdy hrabia ze swej strony także dwóch bandytów pomacał po żebrach, łotry nie czekali na nic więcej, tylko uciekli.

Alberto chciał ich ścigać, lecz hrabia go wstrzymał.

"Niech sobie idą, zkąd przyszli," rzekł, "te łotry i tak nie ujdą szubienicy, bądź tego pewnym!"

Hrabia zwrócił się znowu do ołtarza i uklęknąwszy, dziękował Bogu za cudowne wybawienie. W pobliżu klęczał Alberto ze łzami w oczach; były to łzy radości, że go Opatrzność wybrała za narzędzie do uratowania życia niewinnemu człowiekowi!

Po skończonej modlitwie powstał hrabia, zbliżył się do swego wybawiciela i zmierzył go badawczem okiem.

"Podobasz mi się młodzieńcze," rzekł "i w istocie postępek twój był dzielny i szlachetny. Powiedz mi więc, coś ty za jeden; żebym ci stosownie podziękował."

Ta przystępność hrabiego ośmieliła Alberta.

"Jestem wychowany w górach Walencyi," odpowiedział, "sąsiedzi nazywali mnie dziarskim i silnym synem węglarza. Moje całe mienie jest oto tam, w tem zawiniątku za ołtarzem... Ale nie, mylę się!... posiadam coś więcej, bo czyste sumienie serce odważne i siłę po temu!'

"Jakże się nazywasz?"

"Alberto Flores!"

"Alberto!..." zawołał hrabia i pochwyciwszy go za rękę, wpatrzył się w jego rysy twarzy, a potem smutnie dodał: "Flores."

Chwilę milczał, jakby coś smutnego sobie rozważał.

"I cóż teraz chcesz robić, mój dobry chłopcze?" pytał potem dalej:

"Słyszałem, że wojsko narodowe ma wyruszyć do Niderlandów, więc przyszedłem zaciągnąć się w szeregi."

Ta odpowiedź podobała się hrabiemu.

"Dziękuje ci," rzekł, "żeś mi tak szczerze wyjawił twe przedsięwzięcie. Idź do miasta, pytaj się o któregokolwiek kapitana, a chętnie cię przyjmie. Tu zaś, żebyś miał dozgonną pamiątkę zajścia w lesie pod Toledo, kładę na twój palec sygnet z rubinem... Młodzieńcze, bądź zawsze uczciwym, pobożnym, walcz, jako dziś uczyniłeś, mężnie w obronie uciśnionych, a Bóg i dobrzy ludzie cię nie opuszczą!"

Po tych słowach uściskał serdecznie młodzieńca i spiesznie wyszedł z kaplicy.

Alberto ukląkł przed ołtarzem, pomo-

dlił się w cichości, wstał potem, wziął zawiniątko i poszedł ku miastu Toledo.

Tegoż samego poranku, po zajściu w kaplicy, siedział hrabia Palma zamyślony w swej komnacie. Przypadek zaszły i dziarski węglarz, zajął całkiem jego uwagę. Pozbywszy się pierwszego wrażenia, czynił sobie wyrzuty, że Alberta nie wziął zaraz ze sobą.

Wtem wszedł Jan de Mendoza, kapitan gwardyi królewskiej, a skłoniwszy się nisko przed hrabią i trzymając opieczętowany list, rzekł:

"Jestem synem twego niegdyś nieprzyjaciela, Fernanda de Mendoza. Mój ojciec uznał błąd swój przed śmiercią i nakazał, ażebym tą ręką synowską zapewnił hrabiego Rodrygo de Palma, że zeszedł z tego świata, bez najmniejszej nienawiści, owszem z wielkiem żalem za błąd swój i za skutki nieporozumienia. Ostatniem jego życzeniem było, abyś jenerale rzucając łaskawie w niepamięć wszelkie niesnaski, nad grobem jego zawarł z pozostałą po nim rodziną związek przyjaźni."

Te słowa wzruszyły hrabiego Palmę. Milcząc wziął kapitana za rękę i przyci-

snął do serca. Kapitan Mendoza, po wzajemnem czułem uściśnieniu, oddał list ojca hrabiemu Palma.

"Wtem oto, własnoręcznem piśmie ojca mego," rzekł, "znajdziesz zapewne jenerale wszystko, co do twego zaspokojenia złużyć może i co ci wyjaśni powód nienawiści zmarłego."

Jenerał Palma chciał zatrzymać Mendozę u siebie, lecz ten musiał spieszyć do obowiązków. Podał więc rękę jenerałowi.

"Skoro Bóg da pokój w Niderlandach," rzekł, "wtedy będzie dla mnie najmilszą chwilą, kiedy będę mógł korzystać z towarzystwa pana jenerała."

"I związek przyjaźni zawrzeć na wszystkie czasy," dodał Palma, ściskając serdecznie zacnego młodzieńca.

Skoro kapitan wyszedł z komnaty Palma złamał pieczęć listu zmarłego Mendozy i czytał co następuje:

"Hrabio Rodrygo de Palma! Gdy to moje pismo dojdzie rąk twoich, zapewne ja wtedy spoczywać będę w grobie ojców moich, a przeto będziesz tem pewniejszym, że pod tą pieczęcią umieściłem prawdę.

Dnia pewnego, żądał wasz poufny sługa Cezaryo odemnie posłuchania. Stanąwszy przedemną zapewniał, iż winien to sumieniu i zbawieniu swej duszy, aby mnie przestrzedz, że nosicie się ze zamiarem odebrania mi życia. Zarzekł się, iż rodzina Mendozów jest wam solą w oku, że dawna nienawiść żąda ofiary, a na takową przeznaczyliście mmie, bo z moją śmiercią rodzina moja straciłaby wszelkie wpływy u dworu i przestałaby przyciemniać świetność waszej rodziny. To uwiadomienie rzuciło w moje serce iskrę piekielnej zemsty i odtąd, marzyłem nad sposobami uprzedzenia waszego zamiaru.

W tem znowu przychodzi Cezaryo i donosi, że utrzymujecie stusunki z heretykami. Wasze odwiedzanie nocną porą kościoła katedralnego, wasze hojną ręką rozdawanie wsparcia pospólstwu, wasze otwarte występowania przeciw okrucieństwu inkwizycyi... to wszystko podał jako dowody zamierzonogo buntu, przeciw rządowi i niedostatku wiary.

Hrabio, co potem nastąpiło, wiesz

ze smutnego doświadczenia. O tyleś szczęśliwy, że zdołałeś uniknąć rąk inkwizycyi, jako piętnowany zbrodniarz stałeś się nędznym tułaczem. Przed Bogiem żałuje, że się do takiej zemsty posunąłem, i serdecznie wam przebaczam zamiary, jakieście przeciw mnie knować mogli. Nie złorzeczcie mi, iż przez moję winę tyle nieszczęść spadło na waszą głowę! Połużcie waszą rękę na mój grób ze zaręczeniem, że mi przebaczacie, abym dostąpił łaski i miłosierdzia, przed tronem Najwyższego."

Gdy to hrabia przeczytał, struchlał, pismo wypadło mu z ręki, zadumał się i wykrzyknął kilkakrotnie:

"I ja tego bandytę w domu trzymałem? Boże wielki, wszakże tobie najlepiej wiadomo, że takie zamiary, takie zbrodnie ani w myśli mojej nigdy nie powstały.

Pochwycił potem za dzwonek. Na głos dzwonka wszedł sługa.

"Gdzie jest Cezaryo!"

"Jeszcze nie wrócił."

"Szukać mi natychmiast tego łotra!"

Natychmiast służba zabrała się, do spełnienia tego groźnego rozkazu, ale napróżno szukano obłudnika.

W tym właśnie czasie, zgłosił się do pałacu węglarczyk i żądał posłuchania u hrabiego de Palma. Nie stawiano mu żadnej przeszkody, wiedziano bowiem, że jego bytność jest panu pożądaną.

Hrabia ucieszony, że go widzi zapytał się:

"Powiedz mi otwarcie, czy masz jeszcze chęć służenia przy wojsku?"

"Mam," odpowiedział Alberto.

Odpowiedź ta uradowała hrabiego zwłaszcza, że na samym wstępie będzie miał sposobność wynagrodzenia go za jego męztwo.

"Otóż," rzekł, "oddaję ci moją chorągiew! Kto tak mężnie i silnie bronić swego bliźniego w potrzebie był chętnym i zdolnym ten niezawodnie będzie chętnym i zdolnym prowadzić mój pułk do zwycięztwa i chwały. Odtąd jesteś chorążym! Ubiór nie czyni żołnierza, ale i ten natychmiast odbierzesz!"

Następnie wyszedł hrabia z Albertem przed swój pułk, przedstawił nowego cho-

rążego towarzyszom, w krótkich a treściwych słowach zawezwał żołnierzy do wierności w ich powołaniu, dał znak do pochodu, i wojsko w imię Boże wyruszyło z Toledo.

✣ ✣ ✣

Już poraz szósty spojrzał księżyc pełną twarzą na pola Walencyi od czasu, jak Alberto tamtejszą opuścił okolicę. Ach, jak smutno było przez ten czas na zamku Mendozów!

Hrabina doniosła swemu synowi, że Alberto po śmierci swego mistrza opuścił doliny Wnlencyi, w celu zapisania się w pułki, mające iść do Niderlandów.

Jan odpisał matce zaraz potem, gdy hrabiemu de Palma oddał list ojcowski, i zawiadomił ją, że po skończonej wyprawie, może się tego godnego męża na swym zamku spodziewać, bo dał swe przyrzeczenie, że tam zawrze związek wiecznej przyjaźni. Co do Alberta, to doniósł, że o nim nie wie, ale będzie się starał dowiedzieć, w którym pułku jest umieszczony, zwłaszcza, że sam tęskni za tym miłym towarzyszem młodości, dodając, że wdzięcznym jest za to doniesienie.

Ów list, lubo zresztą zawierał w sobie wiele pocieszającego, jednakże wywarł niejakiś smutek, z powodu braku wiadomości o powodzeniu biednego Alberta, który więcej, niż to u sierot bywa, interesował wszystkich, a mianowicie Blankę.

Chata, którą Alberto przy swem odejściu polecił rozporządzeniu hrabiny, dostała się w darze młodemu, poczciwemu wieśniakowi, imieniem Piotr, który też w niej zamieszkał.

Po niejakim czasie, zgłosił się Piotr na zamku. Hrabina spostrzegłszy go, zapytała czegoby żądał.

Piotr pokazał zwitek papieru i zawiniątko, w którem znajdowały się klejnoty, składające się z pereł, dyamentów, rubinów, i sporego trzosa, napełnionego złotem.

"W mojej chacie," rzekł, "stał w środku izby stół na grubym pniu osadzony. Dziś chciałem pień ściąć, ale uderzywszy weń kilkakrotnie, usłyszałem jakiś łoskot. Oderwałem tedy szczapę drzewa, i oto, co w pniu znalazłem.

Skoro się Piotr oddalił, otworzyła hrabina zwitkę i znalazła w niej kartkę pisaną ręką Kamilla. Na kartce stało:

"Kochany Alberto! Na przypadek niespodziewanej śmierci, któraby mnie, twego mistrza spotkać mogła, nadmieniam, że dla naszego bezpieczyństwa moje i twoje imię odmieniłem, a ty jesteś istotnie synem hrabiego de Palma, jak to załączone piswo twego ojca dowodzi. Niech cię Bóg zachowa na podniesienie świetności twej rodziny, gdy już będzie spoczywał w grobie twój mistrz Kamillo, którego właściwe nazwisko jest Fernando d'Arjas, nauczyciel przy uniwersytecie w Salamance."

Hrabina zamyśliła się. Następnie wzięła list, odpieczętowała i czytała:

"Kochany synu Lorenzo! Gdy niniejsze pismo ojca twego do rąk twoich będzie oddanem, będziesz już liczył szesnasty rok życia. Wiedzże iż w dzień świętego Jakóba, gdyś miał cztery lata, a ja przed ścigającemi mnie musiałem uciekać z kraju, oddałem cię na wychowanie memu przyjacielowi, którego ty zowierz mistrzem. Obowiązanym on jest, zamilczeć ci twoje pochodzenie, ażeby poczucie godności nie

zwichnęło przymiotów ducha. Być może, iż twem przeznaczeniem będzie żyć w ukryciu, a w takiem razie, wiadomość o twoim pochodzeniu czyniłaby twoje położenie jeszcze nieznośniejszem. Jak długo ja na wygnaniu, a ty w ukryciu pozostawać będziesz, to wie tylko Ten, który na mnie niewinnego dopuścił prześladowanie... Jego wola święta, dobra i najmędrsza, nie szemrzę przeciwko niej.... Gdy dożyjesz lat szesnastu, odda ci twój mistrz skarby, które ja w pospiechu pochwycić zdołałem, i objaśni się, co się mego prześladowania dotyczy. Załączonym dyplomem i niniejszem pismem udowodnisz na dworze w Madrycie twoje pochodzenie, ale to wtenczas dopiero, kiedy dla naszego domu pomyślniejsze nastaną jak teraz, czasy. Te wyrazy pisałem w czasie ucieczki z Toledo do Salamanki. Pozdrawiam cię sercem ojca... Bóg niech cię błogosławi i niech cię ma w opiece, przez ciąg całego życia twojego!

Twój nieszczęśliwy ojciec,
Rydrygo de Palma."

Gdy hrabina skończyła czytanie, długo siedziała, milcząc, w zadumaniu.

"A więc," zawołała w końcu drżącym głosem, "Lorenzo... Alberto... syn hrabiego Rodrygo de Palma! Wielki Boże! jakżeś dziwnie a mądrze zarządził! Syna prześladowanego od nas ojca kazałeś nam przyjąć po przyjacielsku, ażeby tym sposobem ulżyć nieszczęśliwemu i goić bez wiedzy ranę, z wiedzą przez uprzedzenie zadaną."

X.
Potrójna utarczka.

Było to pewnego mglistego poranku, Hiszpanie gotowali się po szturmu, a zabierali się do niego z tem przekonaniem, że już będzie ostatnim, gdyż w mieście panowała grobowa cisza. Jeźli czasem pojawił się tu lub tam jaki wojak, czy to w bramie, czy na murach, to jego twarz wynędzniała i chwiejne jego ruchy aż nadto wskazywały, że nadszedł czas, w którym miasto Dóren, oblężone przez jenerała hrabiego Rodrygo de Palma, poddać się musi.

W samej rzeczy, daje się naraz słyszeć chrapliwy głos trąpki, brama się otwiera i z miasta wyjeżdża konno parlamentarz

naprzeciw Hiszpanom, dopytując o wodza. Koń owego parlamentarza były to same kości, powleczone skórą,

Wskazano mu hrabiego de Palma. Stanąwszy przed nim, oddał głęboki pokłon.

"Komendat i starsi miasta," odezwał się parlamentarz, "posyłają mnie do wodza, oblegejącego miasto z przedstawieniem, którego wykonanie dziś jeszcze los miasta z ochroną rozlewu krwi rozstrzygnie. Pismo, które oto wręczam, zawiera bliższe określenie przedstawienia."

Hrabia skinął na swego chorążego, aby odebrał pismo, a gdy się zebrała starszyzna wojskowa, odczytał co następuje:

"Starsi miasta Dóren i komendant załogi, do hrabiego Rodrygo de Palma.

Że już dosyć krwi popłyneło, dlatego, zapobiegając dalszemu rozlewowi, postanowiliśmy naszą przyszłość poddać losowi. Umyśliliśmy wybrać z pomiędzy nas trzech rycerzy, którzyby pojedyńczo walczyli z trzema rycerzami ze strony hiszpańskiej wybranymi. Jeźli większość zwycięzców będzie po stronie hiszpańskiej, natenczas zobo-

wiązujemy się oddać klucze miasta w ręce hrabiego Rodrygo de Palma; jeżeli odwrotnie dwaj zapaśnicy z naszej strony odniosą zwycięztwo, natenczas oblegający natychmiast ustąpią, a hrabia listem żelaznym zabezpieczy nasze miasto od wszelkich napaści ze strony wojska hiszpańskiego. Jeźli hrabia Rodrygo de Palma zechce przystać na powyższą propozycyę, to niech będzie łaskaw zaręczyć to swym podpisem i pieczęcią; w razie przeciwnym bronić się będziemy do ostatniej kropli krwi, a w końcu zapalimy miasto i poszukamy w płomieniach chlubnej śmierci, zostawiając nieprzyjacielowi smutne pogorzelisko. Podpisujemy własnoręcznie: starsi miasta i komendant."

Hrabia powiódł badawczo okiem po zgromadzonych swych towarzyszach i z zadowoleniem dostrzegł, że każdy chętnie przystaje na propozycyę.

Chorąży Alberto, pełen zapału, pierwszy wystąpił i przybliżył się do generała, prosząc, aby jemu pierwszemu pozwolił

walczyć z nieprzyjacielem dla sławy narodu hiszpańskiego.

Hrabia nie miał chęci narażać swego ulubieńca na niebezpieczeństwo, dlatego rzekł poważnie:

"Rozważyłeś ty aby to sobie dobrze, mój Alberto, że od tej walki los miasta Dóren zależy?

"Wodzu!" zawołał Alberto, "mnie się zdaje, że obywatele w każdym razie tylko zyskać mogą, a co się nas tyczy, nie sądzę, aby mnie Bóg miał opuścić w usłudze dla ojczyzny i poświęceniu się dla ludzkości!"

"Jeżeli tak sądzisz," odrzekł hrabia po krótkim namyśle, "to nie opieram się twemu poświęceniu. Idź, Bóg niech będzie z tobą!

Zwróciwszy się hrabia do parlamentarza, rzekł:

"Pozdrów od nas obywateli i komendanta miasta Dóren, powiedz im, że ich propozycya przyjęta... Tu oto żądany dowód masz piśmiennie z moim podpisem i pieczęcią. Więc przyślijcie trzech rycerzy z waszych szeregów, oczekujemy ich z upragnieniem. Wy zaś możecie z murów być świadkami walki i zwycięztwa."

Parlamentarz odjechał z odpowiedzią, a hrabia ustawił swój pułk w bliskości miasta. Wnet na murach miasta dała się słyszeć muzyka wojskowa, rozwarto bramę i wyszło z niej trzech zbrojnych, którzy dążyli na miejsce utarczki.

Trąbka zagrała na murach, a herold zapowiedział, że rycerz Rajmund występuje do walki.

Ze strony hiszpańskiej powtórzono hasło i wezwanie, a Alberto wystąpił przeciw swemu zapaśnikowi. Dano znak do rozpoczęcia. Niderlandczyk natarł z całą zapalczywością, lecz Alberto odbijał ciosy swym orężem, aż upatrzywszy schybienie przeciwnika, utopił w nim pałasz tak głęboko, że krew chlusła, jakby z cewki. Niderlandczyk ranny śmiertelnie runął bezwładny na ziemię.

Na murach miasta rozległ się jęk bolesny, podczas kiedy Hiszpanie wydali radosne okrzyki.

Teraz przystąpił do Alberta hrabia de Palma i podał mu rękę.

"Dobrześ się sprawił!" rzekł, "ale teraz ustąp, aby kto inny mógł pójść w ślady twego męztwa!"

Wtem niderlandzki herold zawołał: "Rycerz Ryszard występuje do walki!"

Alberto stanął mu na przeciw.

"Nie broń mi, generale," zawołał do wodza, "i tego poskromnię junaka; mnie pierwsza walka bynajmniej nie osłabiła, a pałasz mój równie ostry jak wprzódy. Niech więc i tę walkę z wolą twoją rozpocznę."

Palma skinął na znak zezwolenia.

Szermierze staneli przeciw siebie i rozpoczeli. Walka była uporczywa i trwała dość długo. Lecz Niderlandczyk pierwszy osłabł, a kiedy go Alberto zranił—uciekł haniebnie z placu.

W tejże chwili wpadł na plac trzeci Niderlandczyk i przy odgłosie bębna wezwał Alberta do walczenia ze sobą.

Alberto spojrzał błagalnym wzrokiem na generała, który już mu też nie mógł nawet odmówić, bo już zapaśnicy natarli na siebie. Długo się ucierano — rana zadana Niderlandczykowi zakończyła ową krwawą scenę.

Skutkiem układów otworzono bramę i komendant ze starszymi na znak poddania się wręczyli generałowi klucze miasta.

Alberto zaś w nagrodę swej waleczności został mianowany kapitanem wojsk hiszpańskich i kawalerem orderu świętego Jakóba.

XI.

Zakończenie.

Po długich poszukiwaniach spotkał się nareszcie Jan Mendoza z Albertem. Zbytecznem byłoby tu opisywać ich powitanie po tak długiem rozłączeniu, dodać tylko należy, że kiedy w kilka dni później zawarte zostało zawieszenie brani na lat sześć, nasi młodzi kapitanowie bez zwłoki zabrali się do podróży w rodzinne strony.

W piękny wieczor jesienny, zdobiący malownicze okolice Walencyi, stanęli nasi dwaj bohaterowie u bramy zamkowej i prosili o wpuszczenie. Niebawem odsunięto ciężkie zapory bramy, a podróżni weszli po schodach do komnaty i przedstawili się hrabinie, która właśnie rozmawiała o liście Jana.

Obie panie natychmiast Jana poznały i w radosnem uniesieniu zawołały razem; "ach Jan! syn! brat!"

W tem uniesieniu nie spostrzegły nawet Alberta, dopiero gdy się nieco uspokoiły, zwróciły oczy na nieznajomego kapitana i z podziwieniem poznały w nim Alberta Flores.

Hrabina witając podała mu rękę.

"U mnie," dodała, "bez względu na twoje obecne stanowisko, znajdziesz dawną serdeczność, ale za Blankę nie ręczę!"

Blanka zdumiona prawie swym oczom wierzyć nie chciała. Zapłoniła się na widok nadobnego młodzieńca; podała mu drżącą rękę, którą on pochwyciwszy, serdecznie ucałował.

Hrabia Rodrygo de Palma, wróciwszy z wyprawy i odprowadziwszy pułk swój do garnizonu w Toledo, pospieszył czemprędzej do Salamanki, aby wyśledzić przyjaciela i przycisnąć swego syna do ojcowskiego serca. Ale jakże go nadzieja zawiodła!... Nie znalazł tam ani Fernanda d'Arjas, ani powierzonego mu syna swego Lorenzo de Palma. Po długiem wreszcie dopytywaniu dowiedział się, że będzie temu około lat dwanaście, kiedy ów nauczyciel z wychowańcem wśród nocy uszedł do Walencyi.

Na tę wieść hrabia Palma puścił się natychmiast także do Walencyi. Tu dowiedział się o wszystkiem, co go obchodzić mogło, a skoro zebrał co wiedzieć pragnął, zamierzał udać się na zamek.

Wtem spostrzegł idących drogą hrabinę z córką i dwóch wojskowych. Poznawszy natychmiast Alberta, ukrył się, nie chcąc być przez niego widzianym. Alberto, który też istotnie hrabiego nie widział, przystąpiwszy do grobu Kamilla, ukląkł, ucałował ziemię i ze łzami modlił się czas niejaki. Po skończonej modlitwie powstał, i pełen synowskiej miłości odezwał się do przytomnych:

"Przebaczcie mi, lecz nie powinienem dłużej zwłóczyć obowiązku szukania ojca mego, hrabiego Rodrygo de Palma, skoro oddane mi papiery przekonują mnie. że jestem jego synem."

Wtem z ukrycia występuje hrabia de Palma. Spostrzegłszy go, Alberto rzucił się z rozczuleniem w objęcia. Nastąpiło długie milczenie, przerywane tylko westchnieniami witających się ojca ze synem, a świadkowie przypatrywali się tej scenie do głębi serca rozczuleni.

Skoro rozrzewnienie nieco przeminęło, rzekł hrabia de Palma:

"A więc tu spoczywa mój szlachetny przyjaciel Fernando d'Arjas!"

I tak się rozczulił, że strumień łez przerwał mu dalszą mowę.

Udali się następnie do zamku. Tu po wzajemnem porozumieniu stanęło, że Alberto zaślubi Blankę. Ślub odbył się już też następnego dnia uroczyście w kaplicy zamkowej, a równocześnie zawartem zostało wieczne przymierze zgody i jedności pomiędzy rodzinami Mendozów i Palmów, którym też w późniejszym czasie Bóg widocznie błogosławił.

KONIEC

Biblioteka Śląska